3982

B.D.I.C.

TYGODNIK ilustrowany

polaka we francji

HEBDOMADAIRE ILLUSTRÉ du Polonais en France

Nr. 5 — 7 CZERWCA 1953 r.

CENA (Prix) — 25 fr.

Prenumerata: kwartalna 300 fr. półroczna 550 fr. roczna 1.000 fr.

30, rue St.-Augustin PARIS 2e

WISŁA CZEKA NA DZIECI WYCHODŹSTWA

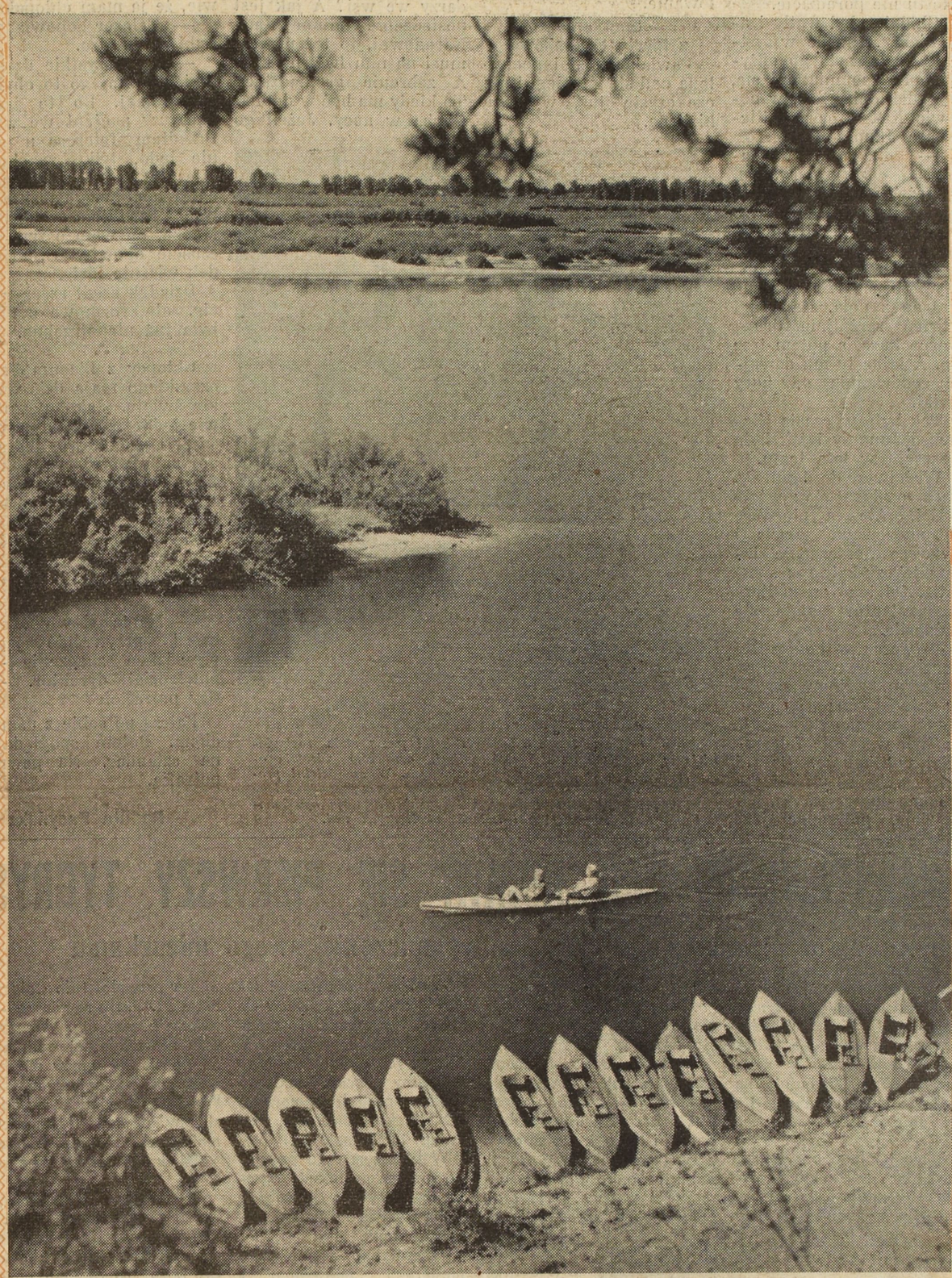

Dziecko w Polsce Ludowej otoczone jest największą troską. Po całorocznej pracy w szkole czeka dzieci odpoczynek. Setki tysięcy dzieci spędza wesoło wczasy w lasach, górach i nad morzem. Polska Ludowa pamięta również o Polakach mieszkających poza granicami kraju i zaprasza do siebie tysiące dzieci polskich z Francji. Organizuje ona z matczyną pieczołowitością dla nich wakacje w najpiękniejszych zakątkach kraju, nie szczędząc wysiłków, by uszczęśliwić swych najmłodszych gości...

MONT EVEREST ZDOBYTY

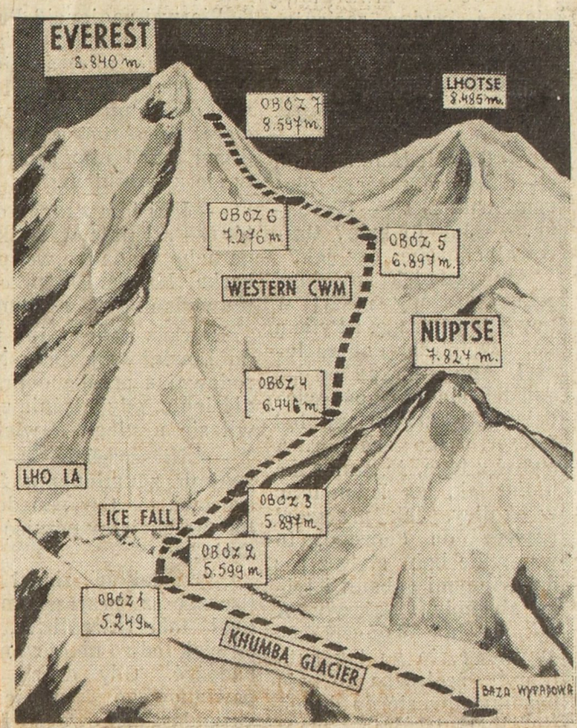

Niezwyciężony dotychczas „Dach Świata" — góra Mont-Everest została zdobyta. Na zdjęciu na tle Everestu widzimy jego zwycięzców. Po lewej słynny przewodnik TENSING, po prawej członek ekspedycji angielskiej Nowozelandczyk E. P. HILAIRE. Ten ostatni jest z zawodu hodowca pszczół. Zdjęcie u góry przedstawia trasę, którą wspinali się alpiniści i rozmieszczenie poszczególnych obozów.

Tygodnik Ilustrowany przynosi Wam w dzisiejszym numerze:

URNKWU

Str. 3 — RATUJMY ROSENBERGÓW

Str. 4 — REPORTAŻ Z KOLONII LETNICH W POLSCE DLA DZIECI WYCHODŹSTWA

Str. 5 — NIEDZIELA W CHIŃSKIEJ KSIĘGARNI

Str. 6 — KAROL MARKS — CZŁOWIEK MYŚLI I CZYNU

Str. 7 — SPANIAŁY SUKCES POLSKICH SIATKAREK W LILLE

Str. 8 — ESKIMOSÓW

Koronacja Elżbiety II

Koronacja królowej Anglii — Elżbiety II, kosztowała skarb państwa bagatelę, bo tylko 100 miliardów franków

Zdjęcia nasze przedstawiają: Od lewej: Królowę Elżbietę w chwili kiedy w pozłacanej karocy opuszcza Pałac w Buckingham i udaje się na uroczystość koronacyjną do opactwa Westminster. (Fot. Univ.)

W środku: Beztosny deszcz lekł bez przerwy w dniu 2 czerwca. Londyńczycy, którzy chcieli przyjrzeć się z bliska uroczystości, trwali mimo złej pogody na ulicach, improwizując na mioty i inne pokrycia, aby ochronić się przed deszczem. (Fot. Ass. Pr.)

Z prawej: Dr. Don, dziekan opactwa Westminster nosił na poduszce Koronę Św. Edwarda. Koronę tę arcybiskup Canterbury włożył podczas uroczystości koronacyjnej na głowę królowej Elżbiety (Waży ona 9 kg) (Fot. Ass. Pr.)

W JEDNEJ TYLKO KSIĘGARNI...

...A MIANOWICIE w księgarni Książki nr 156, na Placu Narutowicza w Warszawie 2 maja 304 osoby zakupiły książki, 8 maja — 268 osób, 9 maja — 324 osoby. Średnia miesięczna wynosi 6187 kupujących osób. Przemnóż te cyfry, drogi Czytelniku, przez ilość księgarń w Warszawie lub — jeśli wolisz — w całej Polsce, a otrzymasz liczby stanowiące ciekawy przyczynek do badań nad stanem czytelnictwa w naszym kraju.

4 maja nadeszły do tej księgarni 33 nowości, 7 maja 25, 9 maja 28. Oto cyfry ilustrujące ruch wydawniczy w naszym kraju.

A teraz, drogi Czytelniku zapraszamy Cię na rozmowę z osobami, które obiektyw złapał „na gorąco". Dlaczego kupują te właśnie, a nie inne książki? Co wpływa na ich wybór? Zobaczymy!

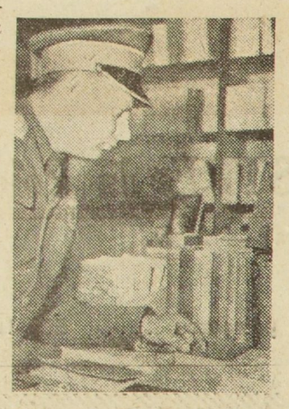

Porucznik Józef Wasiluk kupuje „Młodą Gwardię", gdyż książka ta mówi o bohaterstwie młodzieży radzieckiej i daje wzór patriotyzmu i poświęcenia dla Ojczyzny.

Tych osób nie złapaliśmy „na gorącym uczynku". Są to pracownicy księgarni, którzy na naszą specjalną prośbę ustawili się do fotografii.

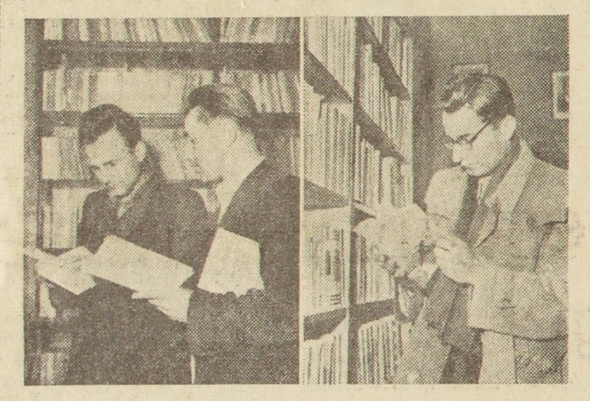

Ryszard Gołębiowski i Henryk Świderski studiują „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR" Stalina.

Student Sekcji Dziennikarskiej, Hryniewiecki czyta Kischa — jednego z najlepszych reporterów współczesnych.

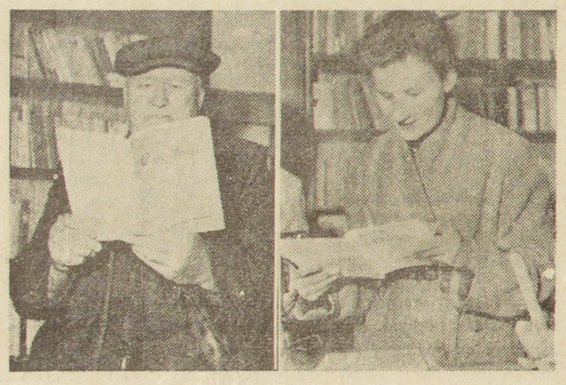

Ignacy Krawczyk, kolejarz z dworca Warszawa Zachodnia, ciekawiony jest książką „O agitacji".

16-letnia Joanna Hekówna nabywa podręcznik pielęgniarski. Joanna Hekówna uczęszcza obecnie na kurs sanitarny.

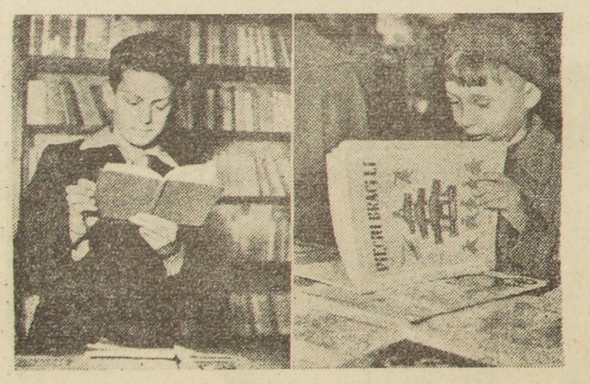

Janusz Ziemianek, uczeń 7 klasy szkoły podstawowej nr 13, przygotowuje się do lekcji „Nauki o Konstytucji".

Te chińskie bajki są ładne, twierdzi młodziutki Marek.

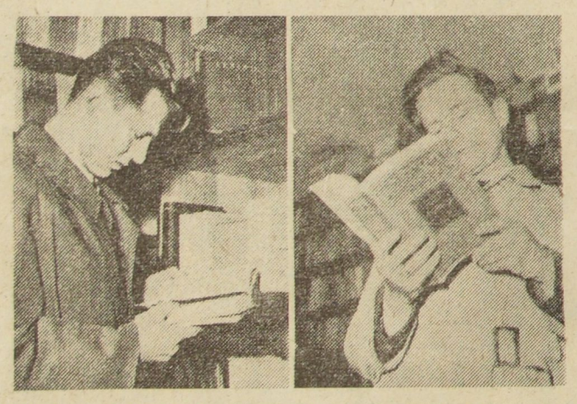

Student Politechniki Warszawskiej, Józef Sokołowski, kupuje Lenina „Materializm i empiriokrytycyzm". Znajomość marksizmu - leninizmu pomoże mu w nauce.

Stefan Pirszel, urzędnik Zarządu Głównego Ligi Lotniczej, przypomina sobie „Faraona" Prusa.

SPADKOBIERCY ZNACHORÓW

(KORESPONDENCJA Z POLSKI)

PRZY końcu wsi garbi się mała chałupka. Dwa okna bez szyb, wyważone z zawiasów drzwi, słomiany, świecący dziurami dach. Wewnątrz — tylko jedna izba o glinianym klepisku i suficie ze spróchniałych desek.

— To tu — oznajmia triumfalnie dziadek Maciej. — Tylko wtedy, gdy chałupkę zajmował felczer było tu trochę inaczej. Ani tych zagonów uprawnych, ani tego boiska sportowego, co go sobie młodzi zbudowali dwa lata temu. Do wsi stąd było daleko, bo to obejście, co je widać tam na prawo, Pawlakowie zbudowali także niedawno. Zresztą — prawdę mówiąc, nikomu nie przeszkadzało, że felczer mieszkał tak daleko od swoich pacjentów. Bo to, widzicie, zawsze lepiej od takiego z daleka.

— Dobrze leczył?

— Ooo — kiwa głową stary i trudno zorientować się, czy w jego głosie brzmi pogarda, czy uznanie. I zniżając głos do szeptu dodaje: — zamawiał.

— Opowiedźcie dziadku — chichoce za jego plecami wnuczka — Weronka. — Jak to było? Czarował chorobę, czy jak?

Ale dziadek machnął ręką i urażony ruszył w powrotną drogę. Pytano go, czy felczer dobrze leczył. Ano — skąd on — dziadek Maciej może wiedzieć. Zresztą to nie był felczer, tylko znachor. A słynął z tego, że zamawiać umiał tak, jak żaden inny w okolicy. Jak przyszedł czasem do chorego, to wszystkie baby stały z rozdziawionymi gębami i tylko słuchały i patrzyły. A jak znachor skończył zamawianie, to go tak sutoraczyły, że trzeba go było później odwozić do domu. No i przecież jajek, masła i kur też trzeba było mu zawieźć, bo jakby się obraził, to na drugi raz już by nie przyszedł. Taki był.

— A wam zamawiał kiedy, dziadku?

— Eee — obrusza się stary. — Gdzieżby tam. Po mojemu, to najlepiej wcale nie chorować. Ani razu u doktora nie byłem, choć tyle lat żyję. Powiedz no Weronka, ile ja mam lat?

Ale Weronka nie wie. Kręci głową i powiada przekornie:

— Chyba ze sto pięćdziesiąt.

⁂

— Będziecie mieli, chłopcy, trudne zadanie — mówią do swych wychowanków nauczyciele - lekarze z trzyletniego liceum felczerskiego w Chełmie. — Niech wam się nie wydaje, że przyjdziecie na gotowe. Wieś nie zawsze będzie was przyjmować z otwartymi ramionami. Czeka was jeszcze walka, rozumiecie?

Nie nowina to dla chłopaków. Rozumieją. Wróg klasowy...

— Nie tylko wróg. Będziecie musieli przezwyciężyć wieloletnie przesądy, które mocno wdarły się w duszę chłopską. Jedni nie będą mieli do was zaufania dlatego, że nie jesteście znachorami, tylko felczerami z prawdziwego zdarzenia, inni — dlatego, że jesteście właśnie felczerami. Bo pojęcia te w ciągu długich lat zatarły i nabrały smutnej wymowy. Jeżeli chodzi o wiedzę medyczną, to felczer miał kiedyś znacznie więcej wspólnego ze znachorem niż z lekarzem. Uprawnienia zaś prawie takie same, jak dyplomowany lekarz. Czyli — jego często wręcz szarlatańskie praktyki „nie kolidowały z prawem". „Odziedziczycie" niechlubną tradycję. Będziecie spadkobiercami znachorów.

Spotkanie z felczerem wiejskim

Wiktor Rowacz przybył do Chojna trzy lata temu, natychmiast po ukończeniu kursów felczerskich. Dlaczego właśnie do Chojna? Trochę dlatego, że sam pochodzi z ziemi chełmskiej, więc ciągnęło go tu z powrotem, trochę dlatego, że po ukończeniu kursów miał do wyboru albo ośrodek fabryczny, albo ośrodek wiejski. Więc — wybrał wiejski. Zapakował cały swój „dobytek" w dwie walizki i przyjechał.

— No i jak przyjęli?

— Ej, ciężko było z początku. Zaczęło się od mieszkania. Chcieli, żebym mieszkał na skraju wsi, w tym samym domku, który zajmował kiedyś znachor. Ale uparłem się, że nie. Dlatego, że oddzielony taką odległością od wsi nie będę mógł służyć pomocą w nagłych wypadkach. No, a poza tym chciałem od razu zerwać z niechlubną tradycją dawnego znachora. To najbardziej zraziło do mnie ludzi.

— No, ale chyba pierwsi pacjenci przełamali niechęć?

Pierwsi pacjenci? Przez pierwsze pół roku Wiktor Rowacz nie miał ani jednego pacjenta. Chodził po wsi od domu do domu i starał się służyć radą. Ale drzwi przed nim zamykały się z trzaskiem.

— Jaki tam z niego doktór — szeptała wszystkim na ucho znana we wsi plotkarka, Magda. On przecie zamawiać nawet nie umie.

Rowacz napisał już list do Powiatowej Rady Narodowej z prośbą o przeniesienie, gdy właśnie zjawił się u niego Pawlak.

— Nieszczęście — oznajmił zdumionemu felczerowi. — Czy pan doktór nie chciałby przyjść do mnie?

„Pan doktór" złapał walizeczkę z przyrządami i gnał tak skwapliwie, że Pawlak ledwo mógł za nim nadążyć. Gdy doszli do pawlakowego obejścia, gospodarz wprowadził felczera do obory. Bo, okazało się, że tą pierwszą pacjentką miała być... krowa.

— Obejrzałem tę krowę — opowiada Rowacz — i choć, prawdą a Bogiem, nie wiedziałem co jej było, przepisałem jakieś nieszkodliwe lekarstwo. Kiedy po „wizycie" Pawlak zaprosił mnie do domu na kolację, zauważyłem w łóżku kilkuletniego chłopczyka.

— Chory? — spytałem. Pozwolono mi go zbadać, ale lekarstw żadnych nie chcieli.

— Choroba weszła, to i sama wyjdzie — zawyrokowała Pawlakowa. — Nic tu nie poradzicie.

Chłopiec był wątły i anemiczny. Przede wszystkim trzeba było go odżywić. Przypomniał mi się, wypadek opisywany w połowie XIX w. przez Klemensa Junoszę.

— Słuchajcie Pawlakowa — zaryzykowałem. — Jeżeli macie czarną kurę, to ją zarżnijcie jutro w południe i ugotujcie dobrego, mocnego rosołu. Dajcie go chłopcu wtedy, gdy gospodarze zaczną wracać z pola. Na drugi tydzień zarżnijcie drugą czarną kurę, a potem trzecią. A jajka to mu dawajcie codziennie od kury białej.

Tak było w czasie Klemensa Junoszy i tak było jeszcze trzy lata temu.

Wróciwszy do domu Rowacz rozpłakał się z wściekłości. Ale ta pierwsza niespodziewana wizyta i pierwsze „orzeczenie lekarskie" zyskały mu sympatię. Od tego czasu liczba pacjentów stale się podnosiła.

— Teraz — kończy Rowacz — już wszystko w porządku. Żyjemy z sobą w największej przyjaźni. Ale — przypomina — wyście byli w szkole felczerskiej w Chełmie. Czy ci chłopcy będą umieli zabrać się do pracy? Bo, jak widzicie, potrzebna jest tu nie tylko wiedza medyczna...

⁂

Przeszło 70 proc. uczniów Państwowego Liceum Felczerskiego w Chełmie stanowi młodzież wiejska.

— To dobrze — komentuje dyrektor. — Wyszli ze wsi i wrócą na wieś. Będą umieli zabrać się do rzeczy.

26 procent — to młodzież pochodzenia robotniczego, a reszta — to synowie inteligencji pracującej. Przyciągnęły ich tu nie widoki zyskownej pracy, lecz prawdziwe zamiłowanie.

Spotkanie z Martą Pawlakową

Pawlakowa stoi pochylona nad strumykiem i płucze czystą już, wypraną bieliznę.

— Nie zimno tak ręce moczyć w wodzie? Przecież to dopiero koniec kwietnia.

— E, nie. Ja zwyczajna.

— Można się zaziębić.

— Jak się zaziębię, to pójdę do felczera. On pomoże.

— A jak nie pomoże?

— Jak sam nie pomoże, to do lekarza odeśle. Może nawet do Chełma.

— Trudno tego waszego felczera zastać w domu...

— Bo zajęty. Cały dzień chodzi od chałupy do chałupy. Mało to jest gospodarzy we wsi? A jak jest posiedzenie Gminnej Rady Narodowej, to też przecie musi na nim być, no nie? A zebranie gromadzkie? To kiedy ma być w domu? Chyba w nocy. Jeżeli go nie zawołają do chorego — dodaje.

— Wygodę teraz z nim macie...

— A pewnie. Choć, prawdę mówiąc, to najpierw nie mogliśmy się z nim nijak dogadać. Ale teraz — on nam pomaga — my jemu. W Stasinie Wielkim jest też felczer. I w Marysinie. Ale nasz najlepszy.

— A jak wasz chłopiec? Duży już?

— O, duży. Już mu na siódmy rok idzie. Na jesieni pójdzie do szkoły. Ale trochę mi choruje. Anemiczny jest, trzeba go odżywiać... A pani skąd wie, że ja mam chłopaka?

— Felczer opowiadał. Lubi go bardzo.

— On wszystkie dzieci lubi, ale mojego to chyba najbardziej. Bo to jego pierwszy pacjent we wsi. Przedtem felczera u nas nie było, tylko znachor. Mieszkał tam, w tej garbatej chałupce na skraju wsi. Spytajcie dziadka Maćka, on wam o tym oszuście opowie. O, dziadek właśnie idzie.

Dziadek szedł rzeczywiście, ale rozmowa z nim była już niepotrzebna.

⁂

Chłopcy z Liceum Felczerskiego mają dziś wielkie święto. Jako uczniowie jednej z przodujących szkół i członkowie jednego z przodujących kół ZMP otrzymują dziś swój sztandar. Sztandar jest taki sam jak inne, ale chłopcom wydaje się najpiękniejszy, tak jak najpiękniejszy wydaje im się ich zawód.

— Macie słowu „felczer" przywrócić jego prawdziwe znaczenie — powiedział dyrektor. — Czy potraficie?

Patrzą po sobie z uśmiechem. Potem spoglądają na sztandar. Na pewno potrafią.

Danuta Pacyńska

Państwo ludowe w trosce o zdrowie ludzi pracy stale rozbudowuje w mieście i na wsi sieć szpitali, ośrodków zdrowia — i porodowych oraz punktów opatrunkowych. W spółdzielni produkcyjnej „Model" w pow. gostynińskim zorganizowano izbę porodową i punkt opatrunkowy, z których korzystają spółdzielcy, ich rodziny i ludność okolicznych wsi.

NIEBAWEM W WARSZAWSKIM ZOO POJAWI SIĘ PIERWSZY TYGRYS

Na razie przebywa on w Poznaniu czekając na wykończenie swego mieszkania

Nareszcie wiosna — mówią z ulgą warszawiacy i liczniej niż w miesiącach zimowych oblegają wybieg dla niedźwiedzi przy Trasie W — Z. Brunatne „misie" są zadowolone. Brodzą w fosie, obryzgując się wodą. Za to ich dalecy krewni — białe polarne niedźwiedzie — mają dość niepewne miny, gdyż wiosenne słońce zwiastuje im nadejście zbyt „gorących dni". Za to foka nieruchomo i z prawdziwą lubością wygrzewa się na skałach.

PODZIEMNA ARENA

Słoniczka — 6-letni podlotek — ocenia doskonale przychylną postawę zwiedzających, wyciągając ku nim na powitanie długą trąbę. Na małym wybiegu jest jej trochę za ciasno, ale już niedługo będzie spacerować po obszernym, trawiastym terenie. Wiele kłopotów z codziennymi spacerami mają lwy. Jest już ich pokaźna gromadka: 3 dorosłe, oraz troje lwiątek Agatka, Baj i Bimo, no i... Terry, Ten ostatni — to pies, mleczny brat Agatki, który według słów opiekuna i karmiciela lwów „rządzi" nimi. Na razie lwy wychodzą na spacer grupkami, dorosłe oddzielnie i młode oddzielnie, gdyż stare lwy mogłyby wyrządzić krzywdę dzieciom.

— Tegoroczne plany przewidują rozbudowę lwiarni — informuje inż. Z. Klimczewski.

— Inwestycja „pójdzie" w dwóch kierunkach, na ziemi i... pod ziemią — dorzuca wicedyrektor K. Pietrzak — na powierzchni lwy uzyskają większą swobodę ruchów, dzięki wyremontowaniu nieużywanej obecnie części wybiegu.

— Pod ziemią powstanie - „Cyrk"...

Oczywiście nie cyrk w dosłownym znaczeniu. W obszernej, podziemnej rotundzie mieścić się będzie arena. Tu liczni widzowie zobaczą tresurę i oswajanie dzikich zwierząt.

Budowa cyrku wymaga szczególnie pieczołowitej dokumentacji. Chodzi tu przecież o bezpieczeństwo publiczności i obsługi, chodzi o wygodę czworonogów, chodzi wreszcie o rozwiązanie oświetlenia wnętrza. Na otoczoną kratami arenę zwierzęta będą przechodzić ze swych pomieszczeń podziemną pochylnią. Miejsca w tym amfiteatrze odznaczają się doskonałą widocznością. Kopuła oswajalni zostanie zbudowana z 6 tysięcy szklanych cegieł i częściowo tylko przykryta ziemią. Projekt budowy wykonali inż. Figurska i Ł. Zalewski. Na arenie zobaczymy tresurę lwów, lampartów, panter i tygrysów.

NOWI LOKATORZY

A przecież w ZOO nie ma tygrysów?

— Nasz „warszawski tygrys" czeka na transport do stolicy w poznańskim ogrodzie. Z chwilą wykończenia betonowych skał na wybiegu drapieżny „kociak" wzbogaci stan posiadania naszego ZOO. Zakończenie tych prac nastąpi już w maju br.

W bieżącym roku powstanie również na terenie ogrodu nowy wybieg dla żubrów oraz budynek dla panter, jaguarów i pum.

Wykończone przed paru miesiącami „mieszkanie" z basenem dla hipopotama do dziś świeci pustką. Warszawiacy mają nadzieję, że w ramach wiosennych wędrówek zwierząt ten ciekawy okaz zawita w przyszłości do stołecznego ZOO. Bo na wiosnę — zwierzęta wędrują. Wprawdzie nie z własnej woli, ale na podstawie umów między ogrodami zoologicznymi. Do Warszawy przyjedzie z Łodzi zielony pawian, kilkanaście mniejszych zwierzątek, jak fretki, kuny i okazy ptactwa.

Z Warszawy natomiast wyjechał do Zamościa jeleń i małpa Rezus. Do Sandomierza pies Chaw Chaw, do Łodzi lwica. Tę ostatnią umieszczono na czas podróży, w mocnej, żelaznej klatce, bo drewniana nie wytrzymałaby naporu silnych łap i lwica poszłaby do Łodzi piechotą.

W pogodne słoneczne, pierwsze dni wiosny, przechodnie z zainteresowaniem obserwują niedźwiedzie na wybiegu przy trasie W — Z.

PORT PIĘCIU MÓRZ

PÓŁNOCNY port Moskwy obok Chińskiego Basenu roi się od pasażerów. Czekają oni odjazdu statków, które ich powiozą do Astrachania, Mołotowa, Rostowa nad Donem.

Rozkład jazdy statków osobowych zawiera nazwy 69 przystanków i jest tak ułożony, by pasażerowie mogli odwiedzać wielkie miasta i ciekawe miejscowości w ciągu dni, a nocami aby byli na statkach.

Już wyruszył do Rostowa duży statek pasażerski, „Marksist" pod komendą kobiety-kapitana M. Popowej. Odprawił się do Astrachania „Anatol Serow" z pasażerami z Moskwy, Czelabińska, Tuły... Zwiedzą oni Uglicz, Jarosław, Gorkij, Ulianowsk, Kujbyszew.

Ludzie chętnie spędzają swój urlop w sanatorium wodnym „Komuna im. Gorkija". Jak w każdym sanatorium znajdują się tutaj oddziały leczenia elektrycznością, hydropatią, wanny, prysznice, gabinety dla różnych procedur leczniczych, gimnastycznych itp...

Sanatorium to różni się od innych tym, że się znajduje na wodzie i kursuje między Moskwą i Astrachaniem. Kapitan Wietochin komunikuje, że w ciągu dwóch rejsów przewiózł 2380 turystów - wyzdrowieńców.

W tym sezonie zacznie kursować szereg luksusowych statków, na których pasażerowie znajdą biblioteki, miejsce dla spacerów, tańców, restauracje, łazienki itd...

Stolica ZSRR stała się portem pięciu mórz. Stąd prowadzą szlaki wodne do morza Kaspijskiego, Czarnego, Azowskiego, Bałtyckiego i Białego.

TOWARZYSTWO NAUK ROLNICZYCH W RUMUNII

W roku 1950 utworzone zostało w Rumunii Tow. Nauk Rolniczych im. Miczurina. Działalność jego polega na wygłaszaniu odczytów, publikacji praktycznych, rad dla rolników, oraz organizowaniu wycieczek do rolniczych stacyj doświadczalnych. Ma ona na celu zapoznanie rolnika z korzyściami, jakie przynosi uprawa ziemi według metod naukowych. Już w 1949 r. rozpoczęte zostały wielkie prace w celu użyźnienia 81.000 hektarów ziemi nad brzegami Dunaju. W zeszłym zaś roku rozpoczęto już uprawę zboża, kukurydzy, buraków, ryżu i bawełny. W Instytucie Badań Rolniczych w Bukareszcie przeprowadza się doświadczenia w celu rozpoczęcia uprawy owoców, sprowadzonych z ciepłych krajów, jak cytryny, pomarańcze, figi.

B.D.I.C

Nowy etap walki o Pokój

Zarówno we Francji jak i na całym świecie walka o pokój weszła w nową fazę. „Wola narodów przyczyniła się do stworzenia nowej sytuacji w stosunkach międzynarodowych" — stwierdził Światowy Ruch Pokoju, a po nim — Rada Pokoju we Francji, w wyniku swych obrad w dniach 13 i 14 maja.

Radosna nadzieja wstępuje w serca milionów ludzi, gdy przemierzają drogę przebytą dotychczas przez bojowników Pokoju.

Jakże słabym wydawał się na początku głos bojowników pokoju, wobec cynicznych nawoływań przedstawicieli potężnego imperializmu amerykańskiego, Tafta lub Mac Arthura — do rzucenia bomby atomowej w Korei.

A jednak bomba nie została rzucona.

Wymienieni rzecznicy miliarderów amerykańskich zmuszeni byli przyznać, że to właśnie potężna kampania opinii publicznej spowodowała ich wahania. Ten potężny głos opinii publicznej zmusił ich następnie do zrezygnowania z popełnienia dotychczas tej najpotworniejszej zbrodni.

Dziś problem zakazania bomby atomowej stawiają również dyplomaci na planie międzynarodowym.

Ogromne postępy wśród szerokich mas społeczeństwa uczyniła idea konieczności ugaszenia istniejących ognisk wojny oraz nie dopuszczenia do ratyfikacji układów wojennych, do której z całej siły pcha imperializm amerykański.

Niezliczone fakty świadczą o postępach jakie uczyniła we Francji idea położenia kresu wojnie w Indochinach przez wszczęcie rokowań z Ho-Chi-Minhem. Świadczą o tym wypowiedzi przywódców francuskich reakcyjnych partii jak Daladier lub ostatni kandydat na premiera, Mendes-France, którzy pod naciskiem opinii francuskiej i nie chcąc się odciąć od swych wyborców, są zmuszeni do żądania wszczęcia rokowań w Indochinach.

Świadczy o tym fakt, że nawet przedstawiciel wielkiej burżuazji francuskiej, tego pokroju co gen. Catroux, w ultra reakcyjnym dzienniku „Figaro" przyznaje, że „opinia francuska bardzo niechętnie daje krew swoich synów i znaczną część swych dochodów na tę wojnę i otwarcie wyraża swoje pragnienie położenia jej kresu".

Czyż z drugiej strony fakt zmuszenia rządu Stanów Zjednoczonych do podjęcia rokowań dla rozejmu w Korei — nie jest dowodem wzrostu sił obozu pokoju, którego największą podporą jest Związek Radziecki oraz kraje demokracji ludowej.

Sprawa konferencji Pięciu celem pokojowego uregulowania problemu niemieckiego i innych spraw spornych osiągnęła bezsprzecznie wielkie sukcesy. Światowa Rada Pokoju rzuciła to hasło w chwili groźnego zaostrzenia się stosunków międzynarodowych i wydawało się, że idea tej konferencji poniesie klęskę.

Otóż obecnie, angielski mąż stanu takiego pokroju jak Churchill, który w swoim czasie rzucił idee paktu atlantyckiego skierowanego przeciw Związkowi Radzieckiemu, oficjalnie wypowiedział się za spotkaniem przedstawicieli wielkich mocarstw na najwyższym szczeblu. Za nim poszli przedstawiciele Indii, Szwecji, Norwegii, Danii i Włoch.

Czyż nie jest charakterystyczny i godny uwagi fakt, że organy prasowe, które przed tym fanatycznie broniły układów wojennych zawartych w Bonn i Paryżu, które wypowiadały się za dalszym prowadzeniem wojny w Indochinach teraz zmuszone są do zmiany tonu.

Czyż nie jest znaczącym fakt, że „Narodowiec" nie może, pod groźbą utraty swych czytelników, wypowiedzieć się otwarcie za remilitaryzacją Niemiec zachodnich. Polacy we Francji, jak i inni, zdają sobie bowiem sprawę, że remilitaryzacja Niemiec skierowana jest przeciw polskim granicom i przeciw Pokojowi. „Narodowiec musi więc lawirować znacznie zręczniej, aby się nie zdradzić, że jest na usługach obozu wojny.

PRZED KRAJOWYM ZGROMADZENIEM RUCHU POKOJU W DNIACH 27 i 28 CZERWCA

Wszystkie wymienione fakty świadczą niezbicie o wielkiej zmianie w sytuacji, o wielkich osiągnięciach bojowników Pokoju. Zachęcony tymi wynikami i świadomy, że podżegacze wojenni bynajmniej nie zrezygnowali ze swych zbrodniczych planów, lud francuski, na apel Krajowej Rady Pokoju, rozpoczął przygotowania do osiągnięcia wyższego etapu w walce o Pokój.

Na terenie całej Francji rozpoczęła się potężna kampania celem przygotowania konferencji krajowej dla utrzymania Pokoju, która odbędzie się w dniach 27 i 28 czerwca.

Obecnie wszystkie wyniki Komitetów Pokoju idą w kierunku organizowania masowych zgromadzeń na szczeblu departamentalnym, mających przygotować zgromadzenie krajowe.

Szerokie akcje w formie petycji, listów, delegacji itp. mają na celu zdobycie nowych energii i rozszerzenie frontu pokoju.

Liczne departamenty już wyznaczyły daty tych zgromadzeń i zmobilizowały wszystkie istniejące komitety lokalne.

Ostatnio ruszył robotniczy Nord i Pas de Calais oraz okręgi wschodniej Francji.

Dep. Nord z entuzjazmem uchwalił zorganizowanie nie jednego, ale trzech masowych zgromadzeń, a mianowicie w Lille i Aulnoye, 21 czerwca oraz w Raismes, 5 lipca.

W Pas de Calais, dzień 7 czerwca będzie wielkim dniem zbiórki podpisów. Na dzień 21 czerwca zostało wyznaczone masowe zgromadzenie ze sztafetami pokoju.

W Thil (Meurthe et Moselle) w 10-tą rocznicę śmierci Danielle Casanova odbędzie się wielkie zgromadzenie regionalne w obronie pokoju.

Wszystkie te akcje zgromadzenia i manifestacje szeroko rozpowszechniają zadania, które postawiła na porządku dziennym konferencja krajowa w dniach 27 i 28 czerwca.

Są nimi:

1. Wstrzymanie działań wojennych i rokowania w Indochinach;

2. Odmowa ratyfikacji układów bonskich i paryskich, rozwiązanie pokojowe problemu niemieckiego;

3. Inicjatywy francuskie doprowadzenia do szybkiego rozejmu w Korei oraz dla przeprowadzenia rokowań w innych dziedzinach (politycznej, gospodarczej i kulturalnej).

Wychodźstwo polskie we Francji wraz z ludnością francuską weźmie żywy udział w tej wielkiej kampanii, aby wspólnymi siłami pchnąć naprzód sprawę utrzymania Pokoju.

Po 170 dniach walki ze śmiercią

Katarzyna Jeleń zmarła we Florencji

DOTKNIĘTA leukemią zwaną również rakiem krwi, Katarzynka zmarła w dniu 2-go czerwca o godzinie 15-ej po 170 dniach zaciętej walki, którą czerwca o godzinie 15-ej po 170 staczał jej organizm w oparciu o leczenie zastosowane przez wielkiego lekarza włoskiego, d-ra Cocchi — z nieubłaganą śmiercią.

W Paryżu Katarzynka leczona była w szpitalu Enfants Malades przez prof. Jean Bernard. Ten ostatni wspólnie z ojcem dziewczynki, postanowił skorzystać z zaproszenia wielkiego lekarza włoskiego Cocchi i skierował Katarzynkę do kliniki we Florencji.

Profesor Cocchi specjalista w leczeniu zapalenia opon mózgowych na tle gruźliczym u dzieci cieszy się wielkim uznaniem w środowiskach lekarzy całego świata.

W początkach marca, prof. Cocchi zapewnił rodziców Katarzynki, którzy niemal co tydzień zjawiali się w klinice we Florencji, że wyleczy dziecko. Ale 15 kwietnia nastąpił atak, który nadał nowy zwrot chorobie. Profesor zastosował kilka transfuzji krwi, a ostatnio, jako ostatnią deskę ratunku — operację śledziony, ażeby w ten sposób zatrzymać bezlitosny proces tworzenia się białych ciałek krwi. Niestety, osłabiony organizm dziecka, nie wytrzymał tej ostatniej próby. W kilka dni po operacji mała Katarzynka, która tak bardzo kochała życie i która bohatersko i z ufnością znosiła wszystkie zabiegi lekarskie — życie zakończyła.

14-ro innych dzieci, z czego dwoje z Francji, znajduje się obecnie na leczeniu w klinice d-ra Cocchi, który wierzy, że w niedługim czasie uda mu się zwyciężyć tę straszną chorobę.

NAGŁY NAWRÓT ZIMNA I LICZNE OPADY ŚNIEŻNE WE FRANCJI

Dwa tygodnie przed rozpoczęciem się lata, Francję nawiedziła fala zimna, przynosząc temperaturę panującą zazwyczaj w miesiącu lutym.

Śnieg spadł w dolinach Cantal i Liorant i w górach Sancy. Ale zimno i opady śnieżne dały się najbardziej we znaki w Alpach.

Od roku 1936 nie zanotowano w miesiącu czerwcu tak niskiej temperatury w Alpach. W ub. środę wielkie płaty śnieżne pokryły grubym całunem liczne miejscowości w dep. Savoie, Haute-Savoie, Ain i Jura.

W Vercors, Grande Chartreuse, Meurienne i Tarantaise, śnieg utrzymuje się na wysokości przeszło 1.000 metrów. 15 cm. warstwa śniegu pokrywa Alpe d'Huez, Galibier i Lautaret. Na skutek opadów śnieżnych wszelka komunikacja z przełęczą Petit Saint-Bernard została przerwana.

Fala zimna, która nawiedziła Francję, nadeszła ze Skandynawii, kierując się ku morzu Śródziemnemu.

URATUJMY ROSENBERGÓW !

Wiadomość o bliskim straceniu niewinnych małżonków Rosenberg wywołała olbrzymie wzruszenie i oburzenie na całym świecie. Delegacje i protesty bezustannie napływają do Departamentu Stanu. Świadczy to o rozległym ruchu, jaki objął świat cały na rzecz obu skazanych.

Obrońca Rosenbergów, oświadczył, że p. Bennett, przedstawiciel amerykańskiego ministerstwa sprawiedliwości usiłował po raz drugi wydostać zeznania w sprawie „posiadanych ponoć przez nich informacji dotyczących radzieckiej sieci szpiegowskiej w Ameryce".

Ale Rosenbergowie odpowiadają:

„Twierdzimy i będziemy zawsze twierdzić, że ani siła ani nawet kara śmierci nie skłonią nas do złożenia fałszywych zeznań ni do wyrzeczenia się naszych praw wolnych obywateli amerykańskich na rzecz tyranii.

Nasze poszanowanie prawdy, nasza świadomość, nasza godność ludzka nie są do sprzedania.

Sprawiedliwość nie jest zabawką, przeznaczoną na sprzedaż temu, który ofiaruje większą cenę.

Jeśli się nas straci, będzie to mordem popełnionym na niewinnych, a hańba spadnie na rząd Stanów Zjednoczonych.

Czy zostaniemy przy życiu, czy straceni, przyszłe pokolenia dowiedzą się, że padliśmy ofiarą najohydniejszej prowokacji w dziejach naszego kraju".

„Tragedia sądowa, którą byłoby stracenie małżonków Rosenberg, na krześle elektrycznym — pisze francuski dziennik „Combat" — przekracza okropnością wszystkie ohydne okrucieństwa, jakie dotychczas zanotowano w rocznikach trybunałów amerykańskich".

A gazeta „Le Monde", komentując propozycje władz sądowych ocalenia życia Rosenbergów za cenę fałszywych zeznań, pisze:

„Jeśli odmówią przyznania się do winy, zostaną straceni 18-go czerwca, o godz. 22-ej. Jeśli zaś przyznają się do winy, ocalą swe życie. Ale o jakie zeznania chodzi, z chwilą gdy wina nie została im dowiedziona? Już sprawozdanie z procesu wywołało wątpliwość w wielu umysłach".

Po procesie odkryte zostały nowe fakty.

Akt oskarżenia twierdził, że Rosenbergowie używali specjalnego stołu do czytania mikrofilmów. Otóż stół ten się odnalazł i nie miał żadnego specjalnego urządzenia, był to zwykły stół, jaki można kupić w tanich sklepach nowojorskich.

Jedyny świadek Greenglass napisał po procesie list, w którym wyraźnie przyznaje, że jego zeznania były fałszywe.

Ale faktów tych, które obalają akt oskarżenia, żaden trybunał nie wziął pod uwagę.

Ethel i Juliusz Rosenbergowie.

W czwartek odbył się w paryskiej sali Mutualite potężny wiec zorganizowany przez Komitet Obrony Rosenbergów.

Tysiące osób zapełniło wielką salę a następnie wszystkie inne sale tego olbrzymiego gmachu. Tysiące innych nie znalazło miejsca.

Zebraniu przewodniczyła słynna uczona francuska p. Irene Joliot-Curie zastępując swego męża — przewodniczącego Światowego Ruchu Pokoju Fryderyka Joliot-Curie, który z powodu choroby, był nieobecny.

Liczni mówcy wykazali nicość aktu oskarżenia przeciwko małżonkom Rosenberg i ujawnili policyjne machinacje, które doprowadziły do aresztowania niewinnych.

W imieniu dziesięciu tysięcy zebranych została wysłana depesza do prezydenta Eisenhowera, domagająca się ułaskawienia niewinnych i rewizji procesu.

Światowa opinia publiczna podziwia hart ducha tych dwojga młodych ludzi, podziwia ich piękne listy do dzieci i przyjaciół, podziwia ich niezłomną postawę obrońców pokoju i prawdy. Światowa opinia publiczna potępia jednomyślnie tych, którzy karę śmierci traktują jako środek szantażu i którzy gotowi są zamordować dwoje niewinnych ludzi.

Mendes-France nie otrzymał inwestytury Zgromadzenia Narodowego

Drugi tydzień przesilenia rządowego we Francji zakończył się odmówieniem przez Zgromadzenie Narodowe zatwierdzenia czwartego z kolei kandydata na premiera, p. Mendes-France, należącego do lewego skrzydła partii radykałów.

Za p. Mendes-France głosowało tylko 301 posłów (przeciw 119) podczas gdy inwestytura wymaga uzyskania 314 głosów.

Dążenia ludu francuskiego do spowodowania zmiany polityki, wyrażające się we wzrastającej kampanii o utworzenie rządu pokoju i postępu, które już przyczyniły się do obalenia rządu Mayera i do odrzucenia przez Zgromadzenie Narodowe kandydatury Paul Reynaud — wpłynęły bezwątpienia również na odmówienie inwestytury p Mendes-France.

Wprawdzie, biorąc pod uwagę zwiększający się nacisk opinii publicznej, ostatni kandydat na premiera, bardzo zręcznie wyraził, w dziedzinie polityki zagranicznej, opinie znacznie różniące się od tych, które były dotychczas wygłaszane przez jego poprzedników.

P. Mendes-France przyznał, że wydatki wojenne Francji są zbyt uciążliwe dla kraju i że uniemożliwiają podniesienie gospodarki narodowej. Pomimo, że stanowisko jakie zajął w swej deklaracji w sprawie wojny w Indochinach jest cofaniem się w porównaniu z opinią wyrażoną przezeń uprzednio, jednakże p. Mendes-France wyraźnie powiedział, że wojna w Indochinach „nakłada na nas ciężar zbyt wielki i zżera siły żywotne kraju". Wreszcie, kandydat na premiera uznał, że Francja znajduje się w stanie zależności wobec Stanów Zjednoczonych i oświadczył, że jest zwolennikiem konferencji Czterech.

W rzeczywistości jednak p. Mendes-France bynajmniej nie wystąpił przeciw polityce prowadzonej dotychczas przez kolejne rządy francuskie od roku 1947. Przeciwnie. Wypowiedział się on otwarcie za sojuszem atlantyckim i za ratyfikacją układów bońskich i paryskich.

Właściwie więc nowy kandydat nie domagał się odrzucenia dotychczasowej polityki, ale wobec oporu napotykanego ze strony opinii, zalecił jedynie zmianę warunków, w jakich ta sama polityka mogłaby być dalej prowadzona.

Pa postawa p. Mendes-France wywołała jednak burzę wśród tych posłów, których prasa postępowa nazywa „stuprocentowymi Amerykanami".

Jeśli chodzi o partię SFIO, od której w znacznej mierze zależał wynik głosowania, podzieliła się ona na dwie mniej więcej równe grupy, z których jedna głosowała za p. Mendes-France, druga — przeciw.

Duża część posłów SFIO, głosowała przeciw, nie chcąc odciąć się od swych wyborców, którzy nie tylko pragną porzucenia obecnej polityki zagranicznej, ale i sprzeciwiają się z wszystkich sił dotychczasowej polityce gospodarczej i finansowej skierowanej przeciw rzeszom pracującym. Otóż w tej ostatniej dziedzinie projekty nowego kandydata bynajmniej nie różnią się od programu Paul Reynaud. P. Mendes-France również zapowiedział zmniejszenie świadczeń ubezpieczeń społecznych, rewizję statutu pracowników przedsiębiorstw upaństwowionych, podniesienie wysiłku produkcyjnego wymaganego od robotników oraz, celem wprowadzenia w życie tych projektów, zażądał on również przyznania mu prawa wydania dekretów-ustaw

Jak wypływa z deklaracji p. Mendes-France, ani w dziedzinie polityki gospodarczej, ani polityki zagranicznej, program jego nie różni się zasadniczo od programów poprzednich rządów. Z siłą podkreślił to w imieniu grupy komunistycznej poseł Jacques Duclos.

„Operacja Mendes-France" była więc właściwie tylko próbą zmylenia opinii publicznej, próbą wykazania jej, że prócz polityki dotychczasowej istnieje tylko jeszcze jedna inna polityka, ta, którą zalecił p. Mendes-France.

Próba ta jednak nie udała się. Pod naciskiem opinii publicznej p. Mendes-France nie uzyskał inwestytury, a kampania ludowa, żądająca utworzenia rządu pokoju i postępu, rozwija się pod znakiem zacieśniającej się jedności.

Włochy w przededniu wyborów do Parlamentu i Senatu

7 I 8 CZERWCA odbędą się w całych Włoszech wybory do Parlamentu i Senatu. 30 milionów 413 tysięcy wyborców i wyborczyń włoskich, wybrać ma 590 posłów i 237 senatorów, spośród przeszło 6 tysięcy kandydatów na posłów i blisko 2 tysięcy kandydatów na senatorów.

Kadencja ubiegłego Parlamentu wybranego w 1948 r. na okres 5 lat zakończyła się w roku bieżącym. Senat, natomiast, rozwiązany został decyzją rządową o rok wcześniej przed zakończeniem jego normalnej działalności.

Do wyborów tych przystąpiła dotychczasowa koalicja partii rządowych, z partią chrześcijańsko - demokratyczną premiera de Gasperiego na czele. W łono koalicji rządowej wchodzą partie: prawicowych socjalistów, demokratów i liberałów. W wyborach bierze również udział rzekoma opozycja antyrządowa składająca się z partii zw. „Włoskim Ruchem Socjalnym" (byli zwolennicy Mussoliniego) oraz z Partii Monarchistów.

Jedyną, istotną opozycję do polityki rządu stanowi Komunistyczna Partia Włoska i partia Socjalistów Jednościowych (Nennistów).

13 milionów głosów równa się 380 posłom, a 12 milionów 999 tys. 900 głosów — tylko 210

Ażeby zapewnić sobie wynik wyborów, jako tako przychylny, koalicja rządowa przeprowadziła (wbrew energicznej i niezmordowanej opozycji Włoskiej Partii Komunistycznej i Jednościowej Partii Socjalistycznej, wbrew niezwykłym manifestacjom narodu włoskiego) — nową ustawę wyborczą.

Na zasadzie tej antydemokratycznej ustawy, koalicja rządowa zapewniła sobie prawo przywłaszczenia sobie 65 procent mandatów poselskich w razie gdyby wszystkie partie koalicji razem wzięte otrzymały cośkolwiek więcej niż 50 procent głosów uznanych.

(Jeżeli koalicja tych partii nie uzyska przeszło 50 procent głosów wówczas mandaty wyborcze rozdzielone zostaną proporcjonalnie do ilości głosów otrzymanych).

Przypuśćmy, że na 30 i pół miliona uprawnionych do głosowania, w wyborach włoskich będzie uznanych 26 milionów głosów.

Przypuśćmy, że wszystkie cztery skoalizowane partie rządowe otrzymają razem na przykład 13 milionów 100 głosów, wówczas koalicja rządowa przywłaszczy sobie 65 procent mandatów, to znaczy (295 plus 85 mandatów), 380 mandatów! Partie nie wchodzące w koalicję, które uzyskałyby w tym wypadku 12 milionów 999 tysięcy 900 głosów, otrzymają tylko 210 mandatów!

„Ażeby zapewnić stały rząd należy liczyć się z klasą robotniczą i jej awangardą"

Ażeby usprawiedliwić to niesłychanie antydemokratyczne prawo wyborcze, koalicja rządowa wysunęła pretekst zapewnienia Włochom stałego i trwałego rządu.

Przemawiając 1 czerwca na wiecu przedwyborczym w Mediolanie, przywódca komunistyczny, Togliatti, oświadczył wobec 150 tysięcznej masy słuchaczy:

„Spójrzcie na to, co miało miejsce we Francji. Parlament francuski został również wybrany na zasadzie oszukańczej ustawy wyborczej. Oszukaństwo to pozwoliło odebrać Francuskiej Partii Komunistycznej trzecią część jej posłów, ale nie zapewniło ono trwałego rządu we Francji, do tego stopnia, że obecnie niektóre osobistości polityczne burżuazji francuskiej zrozumiały, że, aby utworzyć stały rząd konieczne jest rozwiązanie zasadniczych kwestii polityki francuskiej, i że w tym celu należy liczyć się z klasą robotniczą i jej awangardą".

Nędza, bezrobocie, drożyzna niepewność jutra

Wszystkie przypuszczenia różnych obserwatorów zgodne są co do jednej rezczy: jedynie partie opozycji, nieugięcie przeprowadzające swe programy obrony narodu i pokoju, jedynie Partia Komunistyczna i Partia Jednościowych Socjalistów liczyć może na stałość i wierność swych wyborców.

We wszystkich innych partiach istnieje zamieszanie, rozczarowanie i niezadowolenie. Najsilniejsza partia rządowa, partia de Gasperiego, otrzymała w poprzednich wyborach 1948 r. 12 milionów 700 tysięcy głosów. Obecnie według przepowiedni dość optymistycznych, partia ta liczy zaledwie 8 milionów głosów!

I nic dziwnego. Premier de Gasperi i jego rząd całkowicie uzależnili Włochy od „pomocy" amerykańskiej.

Włochy, zaprzągnięte w rydwan zbrojeń wojennych wypływających z zobowiązań planu atlantyckiego, znają obecnie niezwykłą nędzę pracujących, niezmierne bezrobocie, którego rozwiązać nie może stała emigracja — tułaczka, znają one drożyznę, brak mieszkań, niepewność jutra. We Włoszech panuje szczególne niezadowolenie z powodu niezałatwienia problemu Triestu. A obietnice Stanów Zjednoczoczonych z 1948 r., że Triest powróci do Włoch pozostały jeszcze jednym oszukańczym przyrzeczeniem wyborczym... Oto co dziś widzi każdy Włoch.

„W najbogatszej części Europy najniższa konsumcja"

Jezeli w 1948 r. znaczna część Włochów wierzyć mogła w cudowne przyrzeczenia planu Marshalla, to, w 1953 r. każdy Włoch zna skutki poddaństwa „dobroczyńcom" zza Oceanu.

Specjalny wysłannik dziennika „L'Humanite" pisze:

„Iluzje pierzchły. Włochy, a szczególnie Włochy Północne, przemysłowe, dotknięte są kryzysem. Fabryki, a szczególnie fabryki tekstylne, zamykają się jedne po drugich. Stopa życiowa pracujących obniża się bezustannie, podczas gdy arystokracja mediolańska roztacza przepych coraz bardziej bezczelny. Konsumcja mięsa, cukru, tłuszczów, w tej najbogatszej w Europie, okolicy, przewyższa zaledwie konsumcję najbardziej nędznych krajów Europy zachodniej, jak Grecja i Hiszpania".

Grożąc diabłem i piekłem...

Ażeby zapewnić sobie możliwość dalszego wyciskania zysków z krwi i potu pracujących Włochów, ażeby nadal móc zaprzedawać honor i mienie narodowe obcym i bogatym mocarstwom, burżuazja włoska ucieka się do argumentów, które dotychczas pomogły jej trzymać naród włoski w swych rękach. Argumentów tych dostarcza im religia. Rządowa partia chrześcijańsko-demokratyczna występuje wszędzie jako „przedstawicielka Boga na ziemi", jako partia, na którą należy głosować, aby zbawić swą duszę i nie popełnić grzechu śmiertelnego. Pomimo, że Konstytucja włoska zakazuje Kościołowi i duchowieństwu brania udziału w życiu politycznym ,ambony i konfesjonały całych Włoszech zamienione zostały w trybuny agitacji i gróźb. Partia chadecka korzysta z poparcia „Akcji Katolickiej" organizacji zwanych „Komitetami Cywilnymi" oraz — jak stwierdził to dziennikarz paryskiego „Le Monde" z „niezmiennego, stałego i natarczywego poparcia, organizacji religijnych trzydziestu kilku tysięcy parafii". Podkreślić należy oczywiście, że przeszło 52 procent uprawnionych do głosu — to kobiety.

Bezceremonialność amerykańska

Ale wykorzystywanie głębokich uczuć religijnych Włochów dla celów politycznych, staje się jeszcze bardziej skandaliczne, gdy interwencje przychodzą z zewnątrz, ze Stanów Zjednoczonych, oczywiście. Kroniki dziennikarskie wypełnione były ostatnio wiadomością i komentarzami faktu, że ambasador Stanów Zjednoczonych we Włoszech, pani Klara Booth Luce przemawiając na bankiecie w Mediolanie uważała za stosowne otwarcie nawoływać naród włoski do głosowania na partie rządowe. W przeciwnym razie — oświadczyła ona otwarcie — koniec będzie pomocy dolarowej.

Ta bezceremonialna interwencja ambasadora amerykańskiego w wyborach we Włoszech wywołała czywiście powszechne oburzenie, a w sferach rządowych — zakłopotanie. Skrajnie prawicowy francuski „Le Figaro" stwierdza przy tym: „ambasador w wydekoltowanej sukni" chciał przyjacielom pana de Gasperi pomóc w obecnej kampanii przedwyborczej, ale oddała im w rzeczywistości niedźwiedzią przysługę...

Jedynie partie prawdziwej opozycji do polityki rządowej korzystają z zaufania narodu włoskiego

Wewnętrzna, opłakana sytuacja w kraju, zgubna polityka zagraniczna rządu, jego wyraźna zależność od Stanów Zjednoczonych są przyczyną głębokiego niezadowolenia, jakie istnieje w całym kraju.

Wzrastają nieustannie, pomimo niezwykłej presji wywieranej przez czynniki wpływowe, siły opozycji. W sferach, które dotychczas popierały partie prorządowe istnieje rozgoryczenie i pesymizm. Nie pomaga tu demagogiczne przyrzeczenie przedwyborcze mówców partii. Nie pomaga nawet złożone w celu przypodobania się narodowi włoskiemu głęboko przywiązanemu do pokoju, oświadczanie, w którym premier de Gasperi wypowiedział się za zwołaniem konferencji pokojowej ze Związkiem Radzieckim.

W szeregach dotychczasowych zwolenników partii chrześcijańsko - demokratycznej panuje pesymizm. Stwierdza to korespondent francuskiej agencji prasowej, który pisze:

„Obecna kampania jest najspokojniejszą kampanią spośród kampanii powojennych. Wydaje się, że ewolucja sytuacji międzynarodowej przyczyniła się do uspokojenia umysłów. Niepokoi to partie koalicji rządowej, które wysilają się aby ostrzec opinię publiczną przed optymizmem, według ich zdania, nieuzasadnionym i przeciw niebezpieczeństwu wypływającemu z powstrzymania się od głosowania".

Wszyscy obserwatorzy przewidują, że jedynie partie uprawiające prawdziwą politykę opozycji przeciw rządowi de Gasperiego, jedynie partia Komunistyczna i partia Jednościowych Socjalistów, które walczą o zastosowanie konstruktywnej, ludowej i narodowej polityki we Włoszech, liczyć mogą w obecnych wyborach na stałość i wierność narodu włoskiego. Stałości tej nie umniejszą żadne presje ambasadorów, ani żadne gorliwe interwencje emisariuszy rządowych ni kościelnych, nadużywających swej misji i władzy.

POLSKA LUDOWA CZEKA NA SWYCH NAJMŁODSZYCH GOŚCI

z za granicy, których przyjmie na 6 tygodniowy okres wczasów w najpiękniejszych swych uzdrowiskach

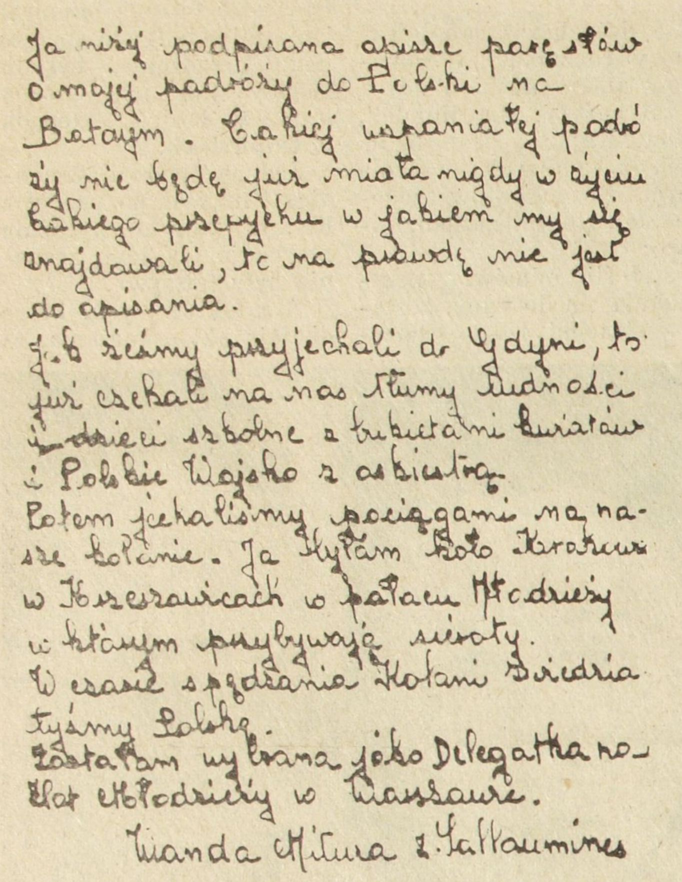
Ja niżej podpisana opiszę parę słów o mojej podróży do Polski na Batorym. Takiej wspaniałej podróży nie będę już miała nigdy w życiu takiego przepychu w jakiem my się znajdowali, to na prawdę nie jest do opisania.
Jak żeśmy przyjechali do Gdyni, to już czekali na nas tłumy ludności i dzieci szkolne z bukietami kwiatów i Polskie Wojsko z orkiestrą.
Potem jechaliśmy pociągami na nasze kolonie. Ja byłam koło Krakowa w Krzeszowicach w pałacu Młodzieży w którym przebywają sieroty.
W czasie spędzania kolonii zwiedziłyśmy Polskę.
Zostałam wybrana jako Delegatka na Zlot Młodzieży w Warszawie.
Wanda Mikura z Sallaumines

WYMOWNY JEST AUTOGRAF MŁODEJ DZIEWCZYNKI, KTÓRA ODBYŁA W ROKU UBIEGŁYM PODRÓŻ „BATORYM" DO POLSKI

Już wkrótce, bo w połowie lipca zawita do jednego z portów Francji, luksusowy statek pasażerski „Batory", wysłany przez władze Polski Ludowej, by wziąć na swój pokład i przywieźć do kraju na wczasy około tysiąca dzieci polskich lub polskiego pochodzenia, których rodzice przed laty zmuszeni byli szukać chleba za granicami swego kraju.

Wczasy dzieci zaczynają się już na statku. Korzystają one przez czas swej podróży nie tylko z luksusowych kabin, kina, pływalni oraz wyśmienitego odżywienia, ale z troskliwej i czułej opieki całej załogi okrętowej wraz z oficerami i kapitanem na czele.

W najśmielszych swych marzeniach nie mógł robotnik w Polsce sanacyjnej wyobrazić sobie tak wspaniałej podróży dla swego dziecka. Dziś korzysta ono z tych wygód i przywilejów, które dawniej zarezerwowane były ściśle dla tych, którzy bogacili się z pracy robotnika.

Polski Czerwony Krzyż we Francji przeprowadza badania lekarskie młodych kandydatów na wyjazd do Polski (od 11 do 14 lat) i na zasadzie wystawionych im kart zdrowia, zostają oni skierowani w kraju do miejscowości lub uzdrowisk najbardziej im odpowiadających. Tam w atmosferze tradycji polskich, pod troskliwą opieką lekarzy i wychowawców, w ożywczym klimacie polskiego Bałtyku i Tatr szybko nabiorą dużego zapasu sił, zdrowia i młodzieńczego entuzjazmu.

Dzieci, które jeszcze w Polsce nie były, gdyż te mają pierwszeństwo do wyjazdu, po wczasach zwiedzą Warszawę i większe miasta Polski. Zapoznają się z bezcennymi skarbami polskiej sztuki i kultury. Przypatrzą się wspaniałym osiągnięciom budowniczych nowej prawdziwie demokratycznej Polski.

Wrócą do Francji po sześciotygodniowych w c z a s a c h, szczęśliwi ze swego pobytu i podobnie jak w latach uprzednich obdarowani najrozmaitszymi pamiątkami i dziełami polskich wieszczów, które przez długie lata przypominać im będą wspaniale spędzone w Polsce Ludowej wakacje.

Nie wiele wskóra kłamliwa propaganda wrogów Polski, pachołków amerykańskich podżegaczy do nowej wojny, którzy rozsiewają wśród pracującego Wychodźstwa, najrozmaitsze brednie dotyczące pobytu dzieci w Polsce. Ohydne afisze smutnej sławy Jean Paul Davida, który za czasów okupacji posiadał domy „rozrywkowe" dla hitlerowskich oficerów, a obecnie szczuje przeciwko Polsce Ludowej, nie zdołają spaczyć patriotycznych uczuć ludzi pracy, którzy widzą w obecnej Polsce spełnienie swych marzeń i darzą ją całkowitym zaufaniem.

Garstka wysługujących się wrogom Polski zdrajców, spod znaku obłudnego „Narodowca" czy też „amerykańskiego „Słowa Polskiego" nie potrafi zatrzeć żywego świadectwa jakie zachwycone swym pobytem w kraju przywożą dzieci Wychodźstwa.

Wystarczy się zapytać dzieci, które były już na wczasach w Polsce, czy chcą wrócić raz jeszcze — aby się przekonać, że Polska Ludowa przyjęła je z iście matczyną miłością i otoczyła przez cały czas ich pobytu najtroskliwszą opieką.

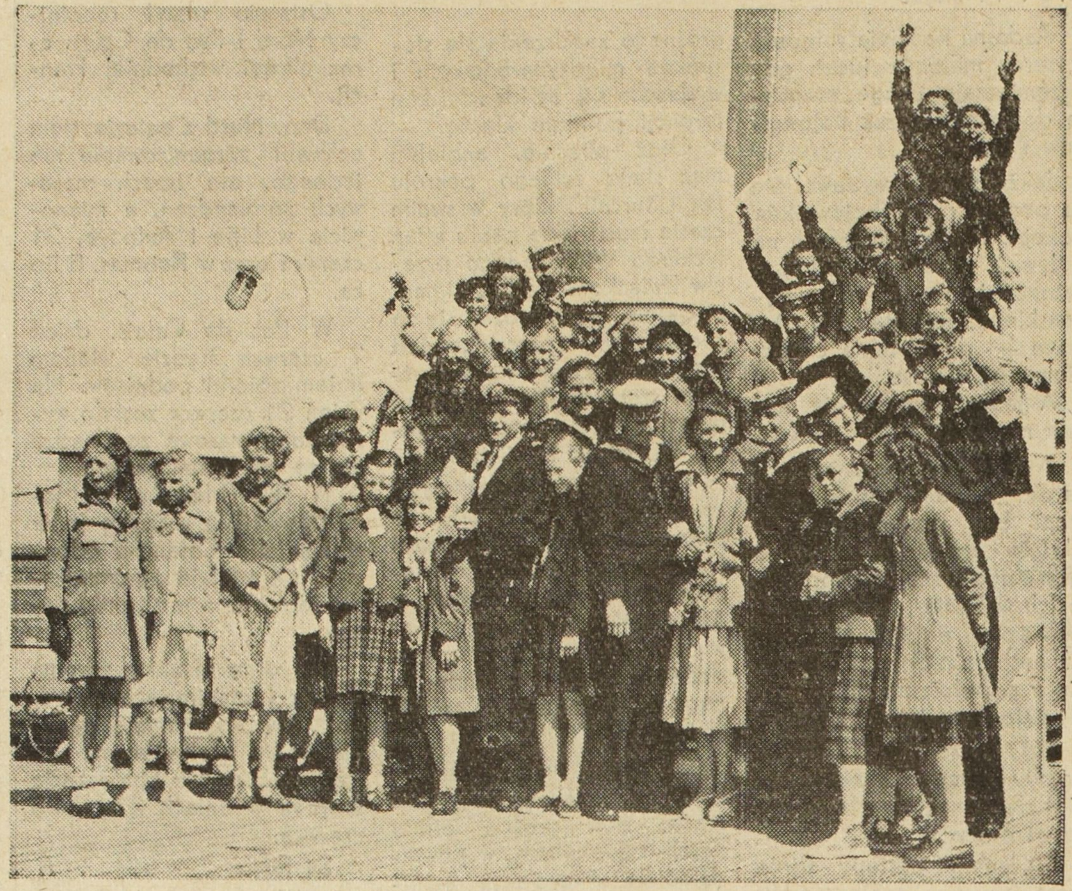
Dzieci z Francji wraz z załogą „Batorego" przed wylądowaniem w Gdyni.

Ustka nad polskim Bałtykiem

MIASTECZKO Ustka, leżące po obu stronach ujścia rzeki Słupi, zbudowane jest na wysokim piaszczystym brzegu, który dość stromo opada do morza. Składa się ono z dwóch części. Po jednej stronie leży dawna osada rybacka, do której przylega dzielnica zabudowana willami — właściwe kąpielisko, a po drugiej stronie rzeki leży nowa część miasta. Dużo drzew, zieleni i kwietników przyczynia się do tego, że miejscowość utrwala się w pamięci jako jedno z piękniejszych polskich wczasowisk nadmorskich. Do miasta przylega również las sosnowy, ciągnący się wzdłuż brzegu.

Ustka jako miejscowość wypoczynkowa ma wiele walorów: piękno krajobrazu, ładna plaża o drobnoziarnistym piasku, wygodne pomieszczenia oraz liczne urządzenia kulturalno-rozrywkowe.

ONGIŚ OSADA RYBACKA

PIERWSZE wzmianki historyczne wskazują, że Ustka powstała na wybrzeżu jako osada rybacka. której położenie u ujścia rzeki Słupi sprzyjało rozbudowie. W połowie XIV w. osadą tą zainteresowali się kupcy miasta Słupska, leżącego dalej na południe, również nad Słupią. Założyli oni w Ustce port. Dzieje miejscowości były ściśle związane z dziejami rejonu słupskiego. W tym czasie port w Ustce nie ustępował Toruniowi czy Elblągowi. Upadek portu w Ustce rozpoczął się w okresie wojny trzydziestoletniej. W 1831 r. rząd pruski pozbawił Słupsk uprawnień do portu, co spowodowało dalszy upadek Ustki.

W początkach XX w. ponownie rozbudowano port, w sąsiedztwie którego powstało kąpielisko morskie. Pełny rozwój jednak zapewnił Ustce dopiero rząd Polski Ludowej uruchamiając po zniszczeniach wojennych port i wykorzystując miejscowość jako ośrodek wypoczynkowy dla ludzi pracy.

Fundusz Wczasów Pracowniczych posiada w Ustce 9 domów wypoczynkowych, które zapewniają wczasowiczom maksimum wygód. Czytelnie i świetlice zaopatrzone w biblioteki i czasopisma, radioodbiorniki i stoły ping-pongowe znajdują się prawie w każdym domu.

Rozległa plaża miejska cieszy się dużym powodzeniem. Liczne kosze chronią wczasowiczów od wiatrów. Możność uprawiania sportu zapewniają trzy boiska do siatkówki i przystań rzeczna zaopatrzona w kajaki.

Spacery i dalsze wycieczki organizują dla wczasowiczów instruktorzy kulturalno-oświatowi.

PIĘKNE OKOLICE ZACHĘCAJĄ DO WYCIECZEK...

UROZMAICONY krajobraz okolic Ustki zachęca do spacerów. W kierunku wschodnim wzdłuż brzegu można się przejść do odległego o 4 km. Orzechowa (gdzie znajduje się gaj leszczynowy) oraz do położonej o 3 km. dalej wsi Wytrawno, w której znajduje się gotycki kościół.

Do Słupska oddalonego o 19 km. od Ustki wiedzie szosa. Miasto to początkami swych dziejów sięga końca X wieku. Godnymi obejrzenia są następujące zabytki: grodzisko z X wieku, resztki starych murów obronnych, tzw. Nowa Brama naprzeciw ratusza, Brama Młyńska w stylu gotyckim, odbudowany w 1948 r. kościół Mariacki (1477 r.) w stylu gotyckim, zamek średniowieczny, pochodzący z 1507 r. i kościół Dominikanów z 1278 r., znajdujący się obok zamku.

Nad jezioro Gardno można dostać się autobusem PKS do wsi Objazda oddalonej od Ustki 15 km. Stąd 5 km. pieszo do wsi rybackiej Rowy, leżącej nad morzem, będącej jednocześnie kąpieliskiem. Ciekawym zabytkiem są tu chaty, których budowa jest typowa dla budownictwa polskiego.

Z Rowów żaglówką lub z Objazdy autobusem można dostać się do Wielkiej Gardny, posiadającej typowe budownictwo słowiańskie. Tu najdłużej zachował się żywioł słowiański broniąc się przed zalewającymi go falami bezwzględnej germanizacji.

Na północny wschód od Wielkiej Gardny znajduje się pasmo wysokich wzgórz, wśród których góruje Rowokół (115 m. npm.).

W odległości 4 km. na północny wschód od Smołdzina rozciąga się rozległe jezioro Łebsko. Nad jeziorem tym znajdują się wsie Kluki i Izbica, gdzie do dnia dzisiejszego żyją potomkowie dawnych Słowińców. Charakter budownictwa jak i nazwy okolicznych wsi w rejonie jezior Gardno i Łebsko wskazują na polskość tych ziem.

NAD POLSKIM BAŁTYKIEM

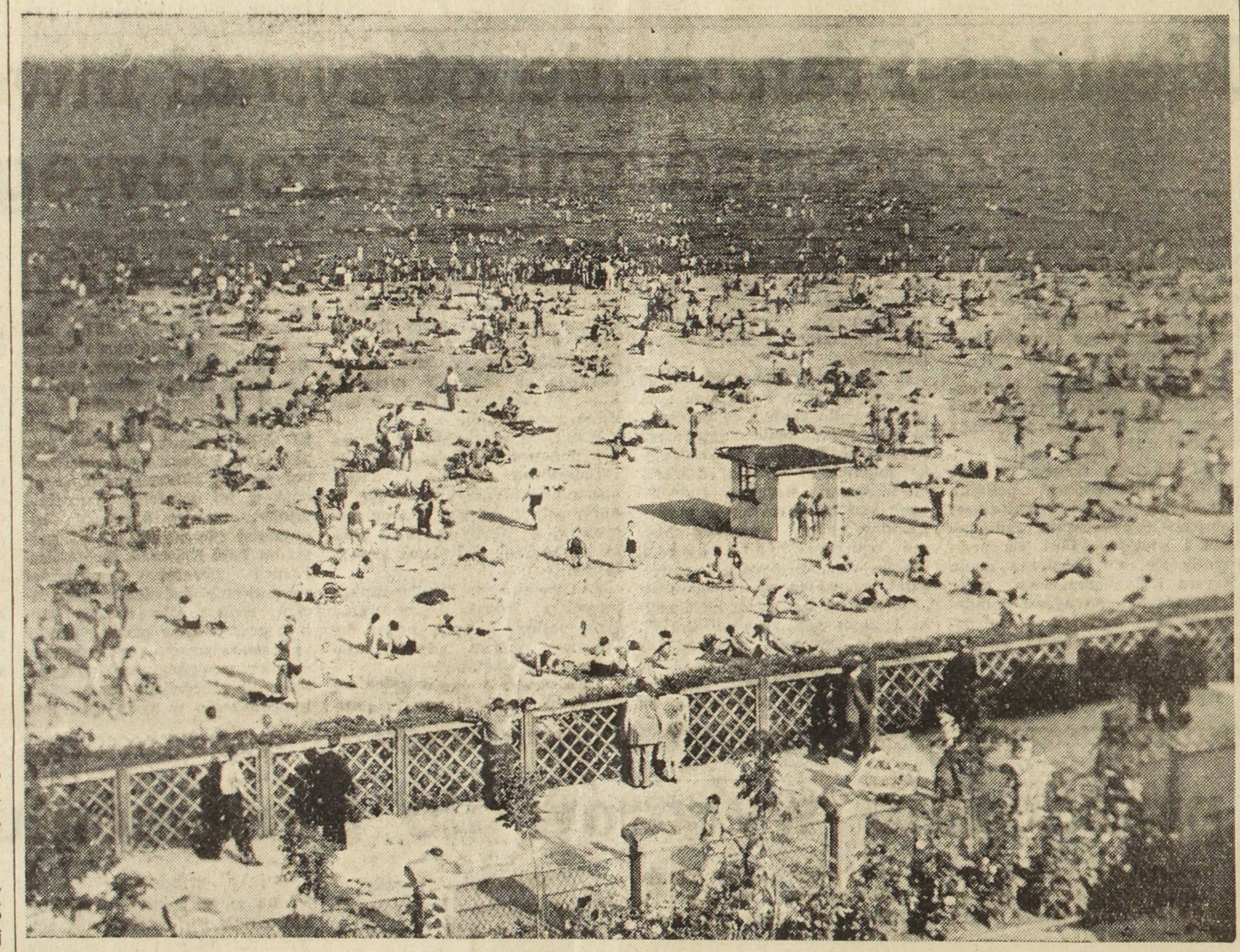
Wczasy letnie ściągają tysiące amatorów opalania się i kąpieli na wspaniałą plażę w Gdyni. Składniki mineralne morskiej wody, a przede wszystkim sól i jod pobudzają w czasie kąpieli krążenie krwi, wzmagają elastyczność skóry i potęgują ciśnienie. Bodźce te, obok właściwości hartujących, przyśpieszają naturalną przemianę materii, pobudzają apetyt, co prowadzi do ogólnej regeneracji sił. Morska ta miejscowość wyjątkowo dobrze wpływa na zdrowie dzieci. Właśnie w pobliżu tej pięknej plaży przebywać będą dzieci Wychodźstwa z Francji i Belgii.

ZAKOPANE

POŁOŻENIE, KLIMAT

ZAKOPANE jest miejscowością wypoczynkowo - leczniczą. Leży u stóp Tatr, na wysokości 800 — 1000 m. nad poziomem morza, w powiecie nowotarskim (woj. krakowskie). Jest ono punktem wyjściowym wycieczek w Tatry i okolice podtatrzańskie.

Klimat Zakopanego ma charakter górski, o znacznych różnicach temperatury podczas doby i niskim ciśnieniu atmosferycznym. Dzięki właściwościom terenu duże stosunkowo opady nie powodują wilgoci. Promienie słoneczne mają tu większą intensywność niż na nizinach.

Dzięki osłonie gór wiatry są umiarkowane z wyjątkiem suchego, ciepłego, halnego. Jest to wiatr południowy, stanowiący osobliwość klimatyczną tych okolic. Wiatr halny jest bardzo silny i powoduje często poważne szkody w lasach. Jego zbliżanie się poznać można po wale chmur nad szczytami.

KOMUNIKACJA

Zakopane łączy z resztą Polski linia kolejowa (otwarta w 1899 r.) oraz doskonała szosa, jedna z najpiękniejszych w Polsce. Przejazd autobusem z Krakowa do Zakopanego nie tylko skraca bardzo wydatnie czas podróży, ale w dzień pogodny stanowi dużą atrakcję turystyczną.

DZIEJE

Zakopane jako wieś powstało w XVI wieku. Pierwszy dokument, który stwierdza istnienie wsi, pochodzi z czasów panowania króla Korybuta Wiśniowieckiego (z r. 1670).

Na początku XIX wieku bawił tu przeprowadzając badania, postępowy uczony ks. Stanisław Staszic. W połowie XIX wieku przybył do Zakopanego malarz Walery Eliasz Radzikowski, który zainteresował Zakopanem — jako prześliczną miejscowością — społeczeństwo Krakowa. Doktór Tytus Chałubiński z Warszawy zwrócił w tym samym czasie uwagę na wartości lecznicze klimatu zakopiańskiego. Fakty te zaczęły nową epokę dla zapadłej wsi góralskiej. Przybywają tu coraz liczniej artyści, by czerpać natchnienie dla swej twórczości, przyjeżdżają chorzy dla poratowania zdrowia i turyści, aby „zdobywać" najwyższe szczyty. W roku 1886 Zakopane otrzymuje statut stacji klimatycznej.

Podczas ostatniej wojny wiele urządzeń zostało zniszczonych lub wywiezionych przez hitlerowców. Po zakonczeniu działań wojennych sanatoria i pensjonaty odnowione i odpowiednio wyposażone oddano do użytku masom pracowniczym.

WCZASY

Od wielu lat w Tatry i do Zakopanego przybywało co roku wielu turystów, chorych i wczasowiczów. Pobyt w Tatrach połączony był jednak z dużymi kosztami, na które nie mógł sobie pozwolić źle uposażony robotnik czy małorolny chłop. Dopiero po wyzwoleniu i zmianie ustroju państwo ludowe i związki zawodowe zorganizowały dla świata pracy tysiące domów wypoczynkowych w najpiękniejszych miejscowościach Polski. W Zakopanem Fundusz Wczasów Pracowniczych posiada 45 dużych domów, do których corocznie na wczasy przybywa kilkadziesiąt tysięcy związkowców. Niezależnie od wczasowiczów, którzy przebywają tu dłużej, przyjeżdżają do Zakopanego liczne wycieczki z zakładów pracy. Rocznie przewija się tu obecnie około 120.000 osób, gdy przed wojną najwyższą cyfrę 60.000 osób zanotowano w 1938 roku.

Domy Funduszu Wczasów Pracowniczych są wygodnie urządzone, posiadają świetlice, biblioteki zaopatrzone w czasopisma, dzienniki, gry świetlicowe, radia i instrumenty muzyczne. Zorganizowano również wypożyczalnie sprzętu sportowego.

ROZRYWKI

Wieczory świetlicowe w domach wypoczynkowych, koncerty zespołów muzycznych związków zawodowych, kino, przedstawienia góralskich zespołów regionalnych, wypożyczalnia książek, turystyka górska letnia oraz sporty uprzyjemniają pobyt wczasowiczom.

URZĄDZENIA SPORTOWE I TURYSTYCZNE

Domy wypoczynkowe posiadają sprzęt sportowy i place do gier. Bogatsze wyposażenie mają domy przeznaczone na wczasy młodzieżowe. Przy ul. Kościuszki znajduje się zimowy stadion sportowy, a przy ul. Orkana — letni. Basen pływacki w Jaszczurówce, kort tenisowy w Parku Miejskim.

TURYSTYKA

Najciekawsze dla Tatr wycieczki prowadzą na Gubałówkę, do Muzeum Lenina w Poroninie, do Morskiego Oka — jeziora górskiego o skalistych wysokich brzegach, na Kasprowy Wierch (1988 metrów), do Doliny Kościeliskiej — bezsprzecznie najpiękniejszego zakątka Tatr, oraz do wielu innych uroczych miejscowości.

W UROCZYCH TATRACH

Typowy obrazek podhalański: góral ze swymi owcami.

Duszniki-Zdrój

ZDROJOWISKO to położone jest w pięknej dolinie Zielonej Bystrzycy, wśród stromych wzgórz pokrytych świerkowym lasem. W odległości 1000 metrów znajduje się stare miasteczko. Uzdrowisko leży u podnóża Gór Bystrzyckich i Stołowych na wysokości 568 metrów nad poziomem morza.

TROCHĘ O HISTORII...

W kronikach z XIV w. spotykamy po raz pierwszy nazwę tego starego osiedla. Duszniki położone przy ważnym szlaku w pobliżu przełęczy Polskich Wrót przeżywały zmienne koleje. W XVIII w. źródłem utrzymania mieszkańców był wyrób sukna, później zarzucony. W rynku dusznickim zachowały się stare kamieniczki barokowe z XVII i XVIII w. Wielką osobliwością miasteczka jest papiernia z 1605 r., jedyny tego rodzaju zabytek w Europie Środkowej.

W parku zdrojowym mieści się zabytkowy „Teatr Chopina", w którym 16-letni artysta dał koncert w 1826 r. Od 1946 r. w „Teatrze Chopina" odbywają się w sierpniu Festiwale Chopinowskie dla uczczenia tego genialnego kompozytora polskiego.

Ludność zajmuje się w 20 proc. rolnictwem, w 50 proc. zatrudniona jest w przemyśle. Przemysł reprezentuje szlifiernia szkła kryształowego, zakłady chemiczne produkujące kwas węglowy, gazownia, elektrownia i zakłady elektrotechniczne.

OŻYWCZY KLIMAT

Jednym z najważniejszych czynników leczniczych uzdrowiska jest klimat. Dzięki położeniu uzdrowiska w wąskiej dolinie, u stóp 500-metrowej ściany górskiej, klimat tutejszy odpowiada biodynamicznie klimatowi panującemu na wysokości 1000 m. npm. Jest to klimat hartujący i zarazem bodźcowy.

WYCIECZKI

Spacery: na Miejską Górę (605 m.) z wieżą widokową (10 min.) oraz doliną Bystrzycy do przysiółka w górze doliny Bystrzycy (20 min.).

Ciekawa jest wycieczka na Lewiński Zamek (740 m.), do ruin zamku-strażnicy, strzegącej drogi przez Polskie Wrota (1 godz.) oraz do rezerwatu przyrody „Topieliska" (2 godz.)

Dalsze wycieczki można urządzać w Góry Stołowe, Bystrzyckie i Orlickie.

Matka wytłumaczyła wtedy Jackowi, że na tym podwyższeniu stali niewolnicy i że tamci plantatorzy kupowali ich, jak handlarze kupują bydło. Zaglądali im w oczy, zaglądali w usta, by się przekonać, czy mają zdrowe zęby, macali mięśnie ramion i nóg, klepali po plecach, kazali im się schylać, biegać i skakać, dozorcy zaś popędzali ich batami i krzyczeli. Potem plantatorzy targowali się z handlarzami. A gdy się ugodzili, zabierali z sobą wybranych Murzynów, ich żony i dzieci, i wiedli do swych plantacyj.

To wszystko działo się kiedyś, może przed stu laty. Potem — jak mu tłumaczyła matka — handel Murzynami zniesiono raz na zawsze. A oto teraz Jacek widzi, że obrazki z „Chaty wuja Toma" jak gdyby ożyły. Z tą różnicą, że zamiast Murzynów w tej ogromnej sali odbywa się handel polskimi dziećmi!...

Dzieci stoją na wzniesieniu, jak w tamtej książce o niewolnikach-Murzynach, a koło nich chodzą jacyś chłopi rozmawiający po niemiecku, chodzą ich kobiety, oglądają każde dziecko, obmacują ramiona i nogi, każą się schylać, otwierać usta, a potem kłócą się z esmanami, krzyczą i targują. W końcu chłopi wyciągają portfele, kładą na stół pieniądze i zabierają wybrane przez siebie dzieci.

A więc zupełnie to samo, co działo się przed stu laty w Ameryce!...

Odkrycie to poraziło Jacka, jak poraziła go widziana zbrodnia wtedy, gdy hitlerowski lotnik cisnął bombę na chatę rodziców Kazi, a pod gruzami zginęli jej rodzice i brat Karol. Wtedy po raz pierwszy uświadomił sobie, że ujrzał zbrodnię. I to sprawiło, że później wiedział już, dlaczego matka pomagała partyzantom w lesie i dlaczego zginęła.

Teraz widzi drugą zbrodnię, taką ponurą, przerażającą zbrodnię. Oto dzieci, wywiezione z Zamojszczyzny do jakiegoś niemieckiego miasta, wystawiono na targ jak bydło!...

I gdy patrzył teraz na tłoczących się chłopów, na ich krzykliwe baby, na napuszonych esmanów ze szpicrutami, na jakichś pozornie dobrodusznych panów siedzących za stołami i targujących się o każde dziecko, i gdy spojrzał na ów nędzny tłum głodnych, zziębniętych dzieci, a potem jeszcze — gdy spojrzał na Kazię, dojrzało w nim postanowienie, że będzie walczył tak jak matka.

Chłopi kiwali głowami, naradzali się, oglądali dzieci, obmacywali ich kosteczki, a potem dobijali targu i kładli na stół pieniądze. Jacek dostrzegał w tym tłumie również ludzi, w o-

1

B.D.I.C

chnąć.. Spotykała zawsze przelęknione oczy dziewczynki i nachmurzony, twardy, zacięty wzrok chłopca.

Wóz wyjechał z miasta, potoczył się po równej drodze. Mijali wsie, inne aniżeli wsie na Zamojszczyźnie czy na Podlasiu, mijali ludzi, ludzie zaś patrzyli ciekawie na dzieci i coś mówili. Jacek wyławiał czasem w ich mowie akcenty współczucia, a najczęściej akcenty złośliwego zadowolenia. Wtedy jeszcze bardziej chmurniał i patrzył spode łba na wiozącą go chłopkę.

Na widnokręgu majaczyły wysokie góry w śniegu i lodzie. Szczyty skrzyły się w słońcu tak mocno, że trzeba było przymykać oczy.

Po dwóch godzinach dojechali na miejsce.

LUDZIE MOGĄ BYĆ DOBRZY

Jacek codziennie patrzył na tamte wysokie szczyty górskie w śniegu i lodach.

Czy to było w lecie, czy w zimie, zawsze je widział i zawsze mu się wydawało, że to jakieś olbrzymie drogowskazy, postawione na skraju ziemi. Szczyty te mówiły, że powinien być do nich podobny. W jaki sposób i w czym, nie wiedział. Wiedział tylko, że musi być do nich podobny. To wszystko.

O tych myślach nie mówił nikomu. Nie mówił ani Kazi, chociaż poza tym nie miał przed nią tajemnic, nie mówił Rogerowi. Jemu by jeszcze powiedział, lecz nie umiał zdobyć się na odwagę. A przypuszczał, że przyniosłoby mu to ulgę. Roger bowiem, jeniec francuski o szelmowskiej gębie, o jednym wypukłym, a drugim normalnym oku, wiecznie coś gadający i przekomarzający się na wesoło z całym światem, ten przezacny Roger byłby go może zrozumiał i powiedział to swoje ulubione: „Délicieux!"...

Zabawny był z tym swoim okrzykiem: „Délicieux". Obiad, wschód słońca, znalezione sznurowadło, kawałek papierosa, rżenie konia, zapach kwiatów, fiknięcie koziołka na rękach, a przede wszystkim uśmiech Kazi — to wszystko określał swoim „Délicieux!"

Przepadał za Kazią i nie nazywał jej inaczej, jak „Paquerette" albo „Marguerite".

— Margerit! Margerit! — wołał na nią, klaskał w dłonie, powtarzał: — O, la, la! — i kończył wykrzyknikiem: — Délicieux!...

— Pakret! Pakret! — wołał innym razem i znowu koń-

czył okrzykiem: — Délicieux!... Słowo to wymawiał zabawnie:

— Delisjy!...

Odtąd Kazia została przemianowana na Margerit, gdyż Pakret jej się nie podobało. Jacek długo nie wiedział, co te nazwy oznaczają. Później dopiero się przekonał, gdy nastała wiosna i gdy Roger, który kazał swoje imię wymawiać „Rożé" z akcentem na ostatniej samogłosce, przyniósł Kazi kilka stokrotek. Wskazał na Kazię, wskazał na stokrotki i powtarzając słowa „Marguerite" oraz „Paquerette", wytłumaczył dzieciom, że owa stokrotka jest dla niego Kazią.

Jacek powiedziałby więc Rogerowi o tamtych drogowskazach na skraju świata, lecz dał spokój. Spodziewał się bowiem, że Roger zawoła: O, la, la!... Délicieux" — i to wszystko.

Gdy w zimie wyprowadzał konie ze stajni, był jeszcze mrok i gór nie było widać. Chyba, że świecił księżyc. Wtedy nabierały tak wiele niewypowiedzianego uroku, że wpatrywał się w nie zdumiony. Czasem były powleczone opalową mgiełką, zwłaszcza w lecie, czasem tonęły w szarych, niskich, postrzępionych chmurach i wówczas sączył się z nich nieokreślony smutek. Czasem zaś płonęły w zachodzącym słońcu jak olbrzymie żagwie, nasycone całą gamą kolorów, od pomarańczowego począwszy, aż do purpurowego. I gdy tak raz patrzył urzeczony w tamten kolorowy cud, nadeszła gospodyni, Frau Heffke.

— Es ist „Alpenglühen" — rzekła przyjaźnie, wskazując na płonące szczyty.

Roger powiedział, że te góry, to bawarskie Alpy, lecz że jego francuskie Alpy w okolicy Grenoble, skąd pochodzi, są stokroć piękniejsze. Ho, ho!... Takich gór, jak jego francuskie Alpy, a zwłaszcza jego „Alpes dauphinaises" ze szczytem „Moucherolle" albo też „Chaine de Belledonne" z „Grand Pic Belledonne", albo z „Rocher de l'Homme", takich gór nie ma nigdzie na świecie. Pireneje? Owszem, lecz to góry dobre dla kóz i dla przemytników. Apeniny nie umywaja się do francuskich Alp. Himalaje? Ho, ho! Sterczą pod niebem jak kopki szczerniałego siana, z czubami przyprószonymi śniegiem!... Australijskie czy amerykańskie Kordyliery to kupę śmiechu warte góry!... Lecz jego francuskie Alpy, to są góry!.. Ho, ho!... I gdy tylko wyjdą z niewoli, musi pójść z nim, a Margerit zabiorą ze sobą. A jakże!... I wtedy pokaże im swoje Alpy, i wtedy sami przyznają mu słuszność. I jeżeli wtedy nie zawołają: „O, la la! Délicieux!" — zrywa z nimi wszelką przyjaźń i nie przyniesie ani jednego kwiatka swojej Margerit; ani nie posadzi jej na konia, tego spokojnego Brauna, ani nie pokaże jej sztuk magicznych.

demickie, w środku zaś, w wymyślnych ramkach postawił pocztówkę z „Horst-Wessellied". Na pocztówce był namalowany Hitler na tle sztandarów, pod nim zaś zaczynał się pierwszy wiersz hitlerowskiej pieśni bojowej: „Die Fahnen hoch! Die Reihen fest geschlossen!..."

Kuno i Hans patrzyli z fotografii nad ojcową komodą wyblakłymi oczami. Obaj mieli usta wydęte w twardy grymas, harde i wyzywające. Odstające uszy nadawały ich twarzom nieco matołkowaty wyraz. W oczach ich jednak czaiła się złość i pycha.

Dla matki byli jednak pięknymi i nienawidziła Hitlera dlatego, że jej zabrał obu synów. Często podczas sprzeczki z mężem nazywała Hitlera pogardliwie szatanem i obłąkanym zbrodniarzem. Herr Heffke truchlał wtedy, słysząc tak wielkie bluźnierstwa — jak to określał, załamywał ręce nad głową i krzyczał, że to zdrada narodu, że za takie słowa może pozbyć się głowy na więziennym podwórzu „Volksgerichtu" w Berlinie, że nie wolno jej tak mówić, że nie wolno jej nawet tak myśleć!..

— Synów mi zabrał! — krzyczała matka.

— To zaszczyt dla nich i dla nas! — krzyczał jeszcze głośniej Herr Heffke.

— Oni mogą zginąć na wojnie!

— Zginą za naszą wielką ojczyznę i Fuehrera! — wołał gospodarz z patosem.

— Mam gdzieś waszego Führera! — ciskała się matka z pasją. — To zbrodniarz, to obłąkaniec! Morduje miliony ludzi...

Heffke uciekał z mieszkania, zatykając uszy palcami. Włóczył się po polach, zaglądał do stajni i do stodół, krzyczał na Rogera i na dzieci, sapał z wielkiego gniewu, a gdy wracał do swojej izby, stawał przed obrazem Hitlera i coś mamrotał, jakby przepraszał za tak wielką zniewagę. Potem podnosił prawe ramię, stawał na baczność, prężył się z wysiłkiem i zaczynał buczeć tamtą pieśń: „Die Fahnen hoch! Die Reihen fest geschlossen!"

I rzecz dziwna. Im częściej wybuchały spory i kłótnie między gospodarzami, tym bardziej Frau Heff'e lgnęła do dzieci. Zwłaszcza do Kazi, którą przezwała pieszczotliwie „Katzi".

Jacek z dniem każdym biegle rozmawiał po niemiecku i francusku. Wykazywał bowiem ku zdumieniu Rogera i Frau Heffke wielkie zdolności do języków. Nie podobało mu się bardzo imię „Katzi" i oświadczył Rogerowi, że milsza mu owa stokrotka „Margerit" aniżeli jakaś tam kotka „Katzi". Był więc niezadowolony, lecz nie protestował. Chodziło mu bowiem o to,

by Kazia nie miała krzywdy u gospodarzy. I zaiste nie miała. Pomagała w domu gospodyni, sprzątała pokoje, zmywała naczynia w kuchni, szyła, cerowała bieliznę i skarpetki gospodarzowi i słuchała opowiadań gospodyni o jej synach. Czasem Frau Heffke spłakała się przed nią i wymyślała Hitlerowi, że jej zabrał obu chłopców, którym grozi poniewierka i śmierć w dalekim świecie. Potem wypytywała Kazię, co dotąd robiła, gdzie była, czym są jej rodzice. Kazia opowiadała, a Frau Heffke słuchała i kiwała niedowierzająco głową. Coś tu się nie zgadzało z tym, o czym pisały niemieckie gazety. Kazia opowiadała zupełnie co innego. Ktoś tu kłamie, ale kto?... — Czy to wszystko prawda? — upewniała się kilka razy.

— Rzetelna prawda! Może pani zapytać Jacka!

— Nie, nie!.. To nie może być prawda!... — broniła się w myślach.

— A czy to prawda, że Polacy niemieckim dzieciom w Polsce przybijali języki gwoździami do stołu? — zapytała raz znienacka.

Kazia nie rozumiała pytania. Frau Heffke powtórzyła je dobitniej, powoli.

— Nie! — zawołała zdumiona dziewczyna. — Nigdy o tym nie słyszałam! To plotki!...

— Nasze gazety pisały...

— To kłamstwo! — zawołała wzburzona Kazia. Zastanawiała się przez chwilę, zanim znalazła ów niemiecki wyraz na kłamstwo: „eine Verleumdung". Powiedziała to wprawdzie: „ein Verlemdung", bo tak się jej to kiedyś obiło o uszy, lecz Frau Heffke zrozumiała.

— Dobrze, dobrze!... — mruknęła nachmurzona i już nie wracała do tego tematu.

W nocy, gdy już była sama, stanęła przed fotografiami synów i patrzyła długo. Ten starszy, Kuno, pisał jej kiedyś... Gdzież może być ów list? To był list jeszcze z Polski. Z jakiegoś miasta o tak trudnej nazwie, że można sobie język połamać... Przerzuciła listy Kuna, znalazła. I jeszcze raz czytała z uwagą. Kuno między wielu szczegółami opisuje jej, że wczoraj był przydzielony do plutonu egzekucyjnego i że rozstrzeliwał „die polnischen Pfadfinder". Byli to chłopcy od lat ośmiu do szesnastu. Ustawiono ich pod cmentarnym murem za miastem. „I niech sobie mama wyobrazi bezczelność tych szczeniaków!..." Kuno strzelał, inni koledzy strzelali, a tamci mali zbrodniarze coś krzyczeli po polsku, coś o Polsce!... Wszystkich rozstrzelano.

cuskiego Czerwonego Krzyża w Paryżu w sprawie jego ojca, Józefa Kostrzewy.

Zaczęło się wszystko od rozmowy o matce dzieci.

— Widzisz, bo ja też mam matkę — mówił Roger — lecz moja matka jest już staruszką.

Jacek pokazał mu fotografię swojej matki. W tamtą ponurą noc, gdy do izby wpadli gestapowcy, by jego i Kazię zabrać, zdjął tę fotografię ze ściany, wyjął z ramki i zabrał ze sobą. Teraz pokazał ją Rogerowi.

— To jest moja matka! — rzekł tylko.

Roger obejrzał, pokiwał głową i mruknął tkliwie: — Mere!...

— Żyje? — zapytał.

— Zginęła jako partyzantka!

Roger zdjął czapkę, skłonił głowę.

— To polska maquisard — szepnął wzruszony.

— A ojciec? — zapytał jeszcze.

I od tej chwili zaczęła się rodzić w nim nadzieja, że odzyska ojca. Roger bowiem zdołał się już domyślić z opowiadań chłopca, że ojciec pracował w Tulonie. Napisał więc list do Czerwonego Krzyża w Paryżu, prosząc o odszukanie Józefa Kostrzewy, dokera w Tulonie. Czekali bardzo długo na odpowiedź.

Mijały dni prawie że jednostajne, a jednak przedziwne, wypełnione orką w polu, sadzeniem kartofli, okopywaniem ich, zwózką piasku, koszeniem siana, żęciem zboża, coraz większym głodowaniem i wspaniałymi pożarami szczytów alpejskich w zachodzącym słońcu. A równocześnie mnożyły się klęski Hitlera na wszystkich frontach, wojna zbliżała się do Niemiec. Z dniem każdym i z każdą nocą rosły i rosły nie kończące się klucze samolotów. Samoloty leciały utopione w błękicie, nocą zaś przemykały między gwiazdami jak okrutne widma, napełniały niebieską kopułę dudniącym bulgotem, srebrzyły się w słońcu, sunęły podobne do opasłych krów na błękitnej łące, a koło nich uganiały się drobne samoloty na kształt psów zapędzających stado. Najdziwniejsze były noce.

W ich ciemnym, bezdennym granacie przelewało się metaliczne dudnienie eskadr od jednego krańca świata po drugi kraniec. Zapalały się znienacka ogromne, smukłe, bladoniebieskie strugi reflektorowych świateł, śmigały po niebie na kształt olbrzymich, cienkich skrzydlisk wiatraków, błądziły omackiem między gwiazdami, szukały, gasły, znowu wytryskiwały a uczepiwszy się srebrnych skrzydeł samolotu wiodły go i oślepiały. Granat nieba rysował się wtedy parabolami ognistych pocisków.

Pociski wylatywały strasznie wysoko, zakreślały strome łuki, rozrywały się i w kształcie rozwianych iskier leciały ociężale do ziemi. Grzmot artylerii przeciwlotniczej mieszał się z tamtym podniebnym werblem, wygrywanym oszalałymi motorami samolotów, okna w mieszkaniach drżały i serca ludzkie drżały. Jacek tłumił bolesny krzyk, gdy dostrzegł, że z jądra reflektorowego światła, z jego najwyższego punktu odrywa się samolot trafiony pociskiem, że płonie i leci do ziemi jak żagiew ciśnięta w studnię. A potem dygotał z przejmującego wzruszenia, gdy słyszał, jak pękają ciężkie, zbiorowe eksplozje, gdy czuł, jak ziemia dygocze i gdy widział, jak nad dalekim Monachium wyrastają szerokie słupy ognia, jak rozlewają się w morze, jak zagarniają pół nieba, jak obrzecześnie noc, a kontury domów i drzew, ba, nawet jego ręki, obrzeżają się purpurowym nalotem. A równocześnie dojmujący ból ściskał jego serce, gdy tak patrzył na konanie ślicznego miasta, które przecież całe pokolenia wznosiły.

Wtedy z domu wybiegał gospodarz Heffke, krzyczał, groził i przeklinał. W oknie zaś stała Frau Heffke, wpatrzona szyderczo w swego męża, wygrażającego samolotom, lub wpatrzona nieruchomo w tamten sabat rozpętanego piekła. Oczy jej były wtedy zimne i okrutne.

W taką to noc, pełną podniebnego zgiełku maszyn i pełną ognistych paraboli, poprzetykaną ruchomymi mackami reflektorów, w grzmocie dalekich eksplozyj i w purpurze pożarów przyszedł Dymitr...

Obsunął się na ziemię po węgle stodoły i leżał, ciężko dysząc.

Jacek i Roger, stojący pod oborą, zauważyli jego cień. Cień był podobny do obolałego, słaniającego się widma. Podbiegli i stanęli zdumieni nad Dymitrem. Dymitr leżał, mocno krwawił i jęczał cicho.

— Ktoś ty? — zapytał Roger szeptem. Rozumiał bowiem, że ten dziwny człowiek z krwawiącą łopatką szuka schronienia.

— Ktoś ty? — zapytał Jacek po polsku.

— Dymitr... Uciekłem z obozu... Z Dachau... — cedził tamten z wysiłkiem po rosyjsku.

Roger struchlał. Wszak to śmierć, jeżeli go podniosą z ziemi i ukryją w domostwie. Przyjdą esmani, przyjdzie Gestapo... Może już są na jego tropie?...

— Zapytaj się, kiedy uciekł? — zwrócił się wciąż szeptem do Jacka.

Jacek powtórzył pytanie w łamanym języku rosyjskim.

— Co to jest? Co to jest? — pyta zdumiony i nie może znaleźć odpowiedzi.

— To jest człowiek! — szepce Roger, jakby posłyszał jego myśli i teraz mu odpowiada po francusku.

Jacek już wie. W tej osobliwej chwili odkrył serce człowieka!...

— Ja już sobie pójdę... — mówi Dymitr z wysiłkiem.

— Co on mówi? — pytają Roger i gospodyni.

— Powiada, że już sobie pójdzie... — wyjaśnia Jacek zdławionym głosem.

— Nigdzie nie pójdzie!... My go uratujemy! My wszyscy. I ty, Roger, i ty, Jatzek, i ja!... — skanduje twardo Frau Heffke. — Niech teraz śpi!... Do rana obmyślę wszystko, by go ukryć przed mężem i przed tamtą sforą psów!... A wy czuwajcie na przemian przy nim... — rzekła jeszcze, pogłaskała po twarzy Dymitra i wyszła na palcach.

Nastała dziwna cisza w komórce. W głębi nocy zaś bulgotały eskadry samolotów, rozłamywały się eksplozje, spadały płonące samoloty i paliło się niebo nad dalekim Monachium.

BRATERSKA OFIARA

Dymitr Serafimowicz, partyzant radziecki, więzień obozu koncentracyjnego w Dachau, od chwili uwięzienia szukał sposobności ucieczki. Wiedział, że czeka go śmierć. On jednak nie chce umierać. Przede wszystkim dlatego, że zostawił sporo nie dokończonej roboty. A on postanowił ją dokończyć. Musi najpierw dobić faszyzm, wrócić do swoich, a potem... Potem wspaniała robota! Odbudowanie tego, co wojna zniszczyła, a potem budować tak, by już nigdy nie było wojny!...

Zdołał już wszystko przepatrzeć, a czego nie przepatrzył, powiedzieli mu współwięźniowie. Jeżeli jaka grupa więźniów przestaje wychodzić poza obóz do pracy, jeżeli w ogóle wcale nie pracuje, tylko na coś czeka, znak to nieomylny, że czeka na śmierć.

Tę ponurą resztę dopowiedział mu jego sąsiad z pryczy, Józef Kostrzewa. Wprawdzie hitlerowcy nie byli pewni, czy Dymitr Serafimowicz, aresztowany gdzieś pod Równem, jest partyzantem, lecz ponieważ w przeddzień wyleciał w tej okolicy niemiecki pociąg w powietrze, aresztowali wszystkich mężczyzn, których spotkali na drodze i we wsi. Dymitr posiadał wprawdzie „lewe" dokumenty, stwierdzające, że jest „porządnym człowiekiem" i że pracuje na tartaku w trzeciej wsi, na wszelki wypa-

Jego zaś magiczne sztuki były nie byle jakie! Oto wsuwał monetę do rękawa i wyciągał ją spoza karku, a potem tę samą monetę wydobywał z noska Kazi. Wbijał sobie małą igłę w czoło, a wygrzebywał ją z włosów w tyle głowy. Nie, tego już nikt nie potrafi uczynić, tylko Roger. Oto pokazał Kazi igłę, przyłożył do czoła, dmuchnął i już po wszystkim. Igły nie ma! A potem tylko pogrzebał palcem w jej włosach i wyciągał igłę!... Widział kto coś podobnego? Nie widział!... Kazia aż oniemiała ze zdumienia. Poza tym Roger umiał zwijać się w obręcz, umiał wykrzywić twarz tak śmiesznie, że nos sięgał jego brody, a co było ogromnie zabawne, umiał ruszać uszami, umiał zakładać sobie nogę na głowę i drapać się końcem buta za uchem! To już było niesłychanie ucieszne! Gdzie się tych dziwnych sztuk nauczył? Nauczył się u wielkich mędrców świata, u filozofów afrykańskich, u bonzów chińskich i u swojej cioci w Grenoble. To on wszędzie już był? A jakże! Wszędzie był, tylko nie był jeszcze w Polsce. Kiedyś jednak będzie. Przyjedzie na wesele Margerit i pokaże gościom takie sztuki, o jakich im się jeszcze nie śniło. Gościom będzie wyciągał złote monety z nosa, będzie im wyciągał żywe króliki z zanadrza, podniesie pokrywkę na wazie z zupą, a wtedy wyfrunie gołąb. Potem jeszcze zawinie jej obrączkę ślubną w chusteczkę, dmuchnie, chusteczkę rozwinie, a obrączki nie będzie!.·. Obrączka zaś będzie w fajce starosty weselnego!... I znowu usiadł, założył nogę za kark i pokazywał, jak się pies drapie za uchem. Drapał się, drapał, a Kazia zanosiła się od śmiechu. Tak długo, aż gruby, odęty Herr Heffke wybiegał z domu, stawał w progu i krzyczał:

— A wy darmozjady! Wy leniuchy! Robić wam się nie chce!... — i wymachiwał pięściami.

Raz tylko podbiegł z biczyskiem do nich i zamierzył się na Kazię. Roger podskoczył i popatrzył w jego oczy. Przerażony Heffke zbladł, zabełkotał coś niezrozumiale i wycofał się chyłkiem. Tchórz go obleciał.

— Tylko mi się tknij tego dziecka! — wołał Roger po francusku i następował groźnie.

Roger istotnie mógł wzbudzić przerażenie. Twarz jego skrzywiła się w drapieżnym grymasie, zęby błyskały, oczy miotały złe płomienie, a pięści były zaciśnięte. To wystarczyło. Odtąd gospodarz nie ośmielał się podchodzić do Kazi z zamiarem bicia jej. Równocześnie jednak odczuwał do niej tym większą niechęć graniczącą z nienawiścią. Używał sobie tylko na Jacku, nie szczędząc mu przekleństw i szturchańców.

I tu jednak skończyła się jego samowola. Roger bowiem

Był już bowiem późny wieczór i Jacek jak zwykle wymknął się do kuchni, gdzie sypiała Kazia — by jej powiedzieć dobranoc. Wracając zauważył w izbie gospodarza światło sączące się przez nie domknięte drzwi. Posłyszał jego mruczenie, uchylił trochę drzwi. W miarę słuchania zdumiewał się. Oto stary Heffke stoi w długiej koszuli, w szlafmycy na głowie, wznosi dłonie przed obrazem Führera i żarliwie wyszeptuje straszne słowa...

Pobiegł do kuchni, polecił Kazi wstać, zarzucił na nią dużą chustkę i powiódł do izby, w której spała gospodyni.

— Co się stało, Jacusiu? Czemu mnie budzisz? — pytała dziewczyna.

— Nic, nic!... Chodź tylko, by nas stary nie widział!

Zapukał do drzwi gospodyni. Drzwi otworzyły się nieufnie, w ich progu stanęła Frau Heffke, chuda, jakby ogromnie zmęczona, o zaczerwienionych oczach. Czyżby płakała?

— Na, was ist los, mein Katzerl? — zapytała.

— Proszę pani! Niech pani weźmie do siebie Kazię! — prosił Jacek.

— Ależ dlaczego?

— Słyszałem, jak Herr Heffke modlił się do Hitlera. Herr Heffke jest chyba obłąkany... Obiecywał Führerowi, że Kazię udusi·..

— Cicho, cicho!... Mój mąż jest istotnie obłąkany. Ja wiem o tym... To nic. Oni wszyscy są obłąkani, ci, co wierzą w obłąkanego Führera. Führer to obłąkany zbrodniarz!... Nie o tym chciałam mówić! Chodź Katzerl!... Tobie nie pozwolę uczynić krzywdy! Bądź spokojny, Jatzek!... Chodź, moja córuchno!.·. — i pociągnęła dziewczynę do izby.

Uspokojony Jacek zawrócił. Przechodząc koło izby gospodarza, w której ten obłąkany człowiek odprawiał swe obłąkane nabożeństwo, spojrzał znowu w szparę w odchylonych drzwiach. Widzi, że Herr Heffke stoi na baczność przed obrazem, że podniósł sztywno wyprostowane prawe ramię i słyszy, jak starczym, łamiącym głosem śpiewa: — „Die Fahnen hoch! Die Reihen fest geschlossen!..." — Jego wyprostowane ramię drży, drżą jego nogi włochate i sine od żylaków, stoi w koszuli, z wypiętym brzuchem, ze szlafmycą na głowie, tragiczny w swej śmieszności. Skanduje tamtą pieśń drewnianym, bezbarwnym głosem, jak modlitwę.

Jacek wrócił do swego legowiska nad oborą.

Tak! Istotnie radował się z klęski Hitlera. Równocześnie ogarniała go radość, bo nieoceniony Roger napisał list do fran-

Byli to bandyci, w ich szkole znaleziono przecież karabin z nabojami..·

Matka zamyśliła się, włożyła list do szuflady, wpatrywała się w fotografię swego syna Kuna. Potem udała się do izby męża. Spał już i chrapał. Płomyk w czerwonej lampce trzepotał niespokojnie, a rubinowe cienie skakały na obrazie po sztywnej twarzy Hitlera. Matka podeszła do „ołtarzyka", zgasiła tamtą głupią, idiotyczną lampkę, podarła pocztówkę z „Horst-Wessellied", wrzuciła do pieca i poszła spać z zadziorem w sercu.

Odtąd jej stosunek do Kazi stał się jeszcze serdeczniejszy. Nie okazywała tego na zewnątrz, tylko pilnowała, by dziewczynka nie miała krzywdy, by nie była głodna; wodziła za nią oczami, a pewnego razu przyłapała się na zuchwałej myśli. Myśl ta przyjęła kształt pragnienia, by Katzi stała się jej córką.

Ta dziwna myśl już jej nie opuszczała.

Ze zgrozą zaś przekonywała się, że jej miłość do Kuna jakby wysychała, jakby popiół sypał się na te wszystkie wspomnienia związane z Kunem. Tamten szczery, pełen oburzenia okrzyk Katzi: „Et ist ein Verlemdung!..." a następnie scena opisana w liście, scena przedstawiająca rozstrzeliwanie polskich dzieci — oba te szczegóły stawały się jakby przegrodą między nią a Kunem.

Milczała i ani słówkiem nie zdradzała swej rozterki.

Na dalekim świecie zaś przewalała się wojna, wojska hitlerowskie poniosły już dawno sromotną klęskę pod Stalingradem, Herr Heffke rozpaczał i wpatrywał się uparcie w oblicze Führera na obrazie, a jego żona modliła się skrycie, by Hitler zginął..·

Gospodarz Heffke zaś stał pod obrazem Hitlera i wstawiał się do Boga, by wódz zwyciężył, by pobił wszystkich nieprzyjaciół na głowę, by wytępił to jadowite nasienie słowiańskie, by wielki Bóg nie opuszczał go w ciężkiej godzinie!...

— Wielki Panie Boże! — skamlał przed obrazem Führera. — Jeżeli wymagasz ofiary dla naszego wodza, niechaj obaj moi synowie polegną, lecz niechaj wódz zwycięży!... Jeżeli wymagasz ofiary, o Boże, zaduszę to polskie szczenię, Katzi, co plugawi mój dom swoim istnieniem! Jeżeli wymagasz ofiary, o wielki Panie Boże, zamorduję jej brata, który raduje się z niepowodzenia Führera!... O, wielki Panie Boże! O, unser Herr Gott, wesprzyj swą łaską największego człowieka i geniusza wśród ludzi, naszego wodza Hitlera! Heil Hitler!... Heil unser Herr Gott!...

Jacek słyszał obłąkańczą modlitwę starego Heffke.

wiedział, że gospodarz jest zabobonny, że wierzy w czary. Tak dalece wierzył, że chętnie korzystał z wróżb Rogera, kazał sobie czytać przyszłość z dłoni, Roger zaś plótł niestworzone rzeczy. Gospodarz wierzył również w posłannictwo Hitlera, uważając go za męża wyznaczonego przez samego Boga do spełnienia ogromnej misji dziejowej. Heffke był przekonany, że Fuehrer jest niezwyciężony, że to człowiek, jakiego jeszcze nie było w historii Niemiec, człowiek, który ma chyba do czynienia z mocami niebieskimi. Dlatego też przed jego obrazem Heffke zawiesił czerwoną lampkę oliwną i patrzył z zadowoleniem, jak mały płomyczek trzepoce się w niej, jak rubinowe cienie biegają po obliczu Hitlera. Wydawało mu się wtedy, że Fuehrer mruga do niego zadowolony i przytakuje jego myślom. Nie było mu żal obu synów, gdyż wierzył, że obaj podbiją świat dla Fuehrera. Poza tym codziennie sięgał po gruby, mocno sfatygowany sennik egipski, po „Egiptischer Traumbuch", i szukał w nim wyjaśnienia swoich snów. Jeżeli sennik przepowiadał pomyślne horoskopy, buczał z wielkiego zadowolenia i jodlował alpejskie piosenki. Jeżeli zaś sen przepowiadał coś niekorzystnego, martwił się, był zły i skory do bicia Jacka.

Roger wiedział o wszystkim. Gdy pewnego razu Heffke znowu wypadł na podwórze i zaczął Jacka szturchać, Roger stanął przed gospodarzem i oświadczył mu grobowym głosem, że widzi nad nim czarną śmierć, która gotowa go zdławić, jeżeli chłopiec wezwie na pomoc dwa lub trzy dobre duchy. Te duchy, to Adonai, Serenisimus i Fixlaudon. Chłopiec zna owo zaklęcie, gdyż on, Roger, nauczył go tej sztuki. Niech więc uważa!...

Kazia słuchała zdumiona, Jacek zaś, który już sporo rozumiał po francusku i niemiecku, zagryzł usta, by nie parsknąć śmiechem. Patrzyli wszyscy troje, jak Heffke wraca do izby, skulony jakiś, drepczący, trzymając się za obwisły brzuch. Potem w domu zaczęto się piekło.

Frau Heffke i Herr Heffke żyli bowiem w niezgodzie i częstokroć dochodziło między nimi do kłótni. Łączyła ich tylko wspólna miłość dla obu synów, Kuna i Hansa. Kuno walczył w Rosji, Hans w Afryce. Gospodyni zawiesiła ich fotografie nad swoim łóżkiem i zdobiła je w kwiaty. W zimie obwieszała je papierowymi różami. Herr Heffke zaś uczynił na komodzie w swej izbie coś w rodzaju ołtarza. Fotografie synów umieścił pod obrazem Hitlera, pod fotografiami zaś, na komodzie, ustawił duży kufel, z którego obaj synowie pili „Bruderschaft" z samym „Sonderfuererem" w Monachium, ułożył symetrycznie ich czapki aka-

czach kłórych lśniło się współczucie i jakby zawyżdżenie, że i oni wmieszali się w bandlerską hałastrę kupczącą dziećmi. Owo odkrycie przyniosło chłopcu ulgę.

Nadkoło sali, na ścianach pstrzyły się przeróżne plakaty, biegły jakieś napisy prawdopodobnie sławiące Hitlera, bo nazwisko to wciąż się powtarzało. Na fronłowej ścianie rozparł się duży obraz w złoconych ramach, na którym stał Fuehrer z dłoniu na rozłożonej mapie. Za nim płonęło jakieś miasto i szły nechylone do przodu szeregi szlandarów zaczocnych swastyką. Hitler stał butny, batrzac głubokowto z obrazu. Jego oczy były chytre, zimne i okrutne. Jacek widział kiedyś takie same oczy u zmii w lesie. Fonosiła się lekko na skręconym tułowiu. Kobała płaskim łbem i sieplła w jego oczy. Jacek trzasnął wiedy kijem w łamten ohydny łeb, przetrafił go, a Karuś doskoczył i rwał zębami jej drągiące ciało. Tak Hiller ma takie same oczy, jak tamta zmiia w Janowskim Lesie!

Chciał się podzielić swym spostrzeżeniem z Kazią, ale z nią nie było można rozmawiać. Płacze bowiem cichuńko i płacze, drży i łuli się do niego.

Dzieci już teraz nie płakały i nie krzyczały, jak to czyniły w pierwszych dniach w wagonach. Gdy bowiem wedy zbyłnio krzyczały, rozswały się drzwi wagonu, wpadał jeden i drugi zandarm i parł na osiep bałem. Wiedy płacz przemieniał się w ciichy szkowt...

Ów skowyt jeszcze brzmi mu w uszach, podobnie jak brzmi mu w uszach skowyt Karusia z przetrąconym grzbietem.

Jacek wsłuchiwał się w niezrozumiała mowę chłopów i czekał, kiedy go kłos Kupi i powiedzie z soba, jak łamten planłator wiódł niewolnika-Murzyna do swego gospodarstwa. Postanowił nie rozłazać się z Kazią. Już dwch chłopów obmacało jego ramiona, lecz odstąpili od kupna, bo wiłocznie cena była zbyt wysoka.

Przyszedł w końcu trzeci chłop, tegi, zażymy, czerwony na twarzy. Popatrzył na Jacka i zawołł Kazię. Przydrepłała do niego kobieta, chuda, z zaczerwienionym koniuszkiem nosa, pokorna i jakby do trzech nie umiejąca liczyć. Nadrałali się nad Jackiem, długo naradzali, po czym poszli targować się z owym panem przy najbliższym stole. I znowu długo się targowali. Doproduszny pan rozkładał dłonie i nie zgadzał się z nimi. W końcu chłop widać przystał na warunki, bo wrłożył na stół pieniądze i ruszył po chłopca. Skinął na niego palcem. Jacek zauważył, że ów palec jest gruby, brudny i podobny do kołka.

Zstąpił z podwyższenia, lecz pociągnął za sobą Kazię.

2

— Nein! Nein!... — zaprotestował chłop. — Ik brauch ka Medli!...

Kazia zrozumiała jego opór. Objęła kurczowo Jacka, Jacek przygarnął ją do siebie i stali tak spleceni ramionami. Chłop jął ich rozłączać. Dziewczyna podniosła piaczliwy krzyk. Na sali powstał zamęt, esmani jęli się zbliżać, chcieli pomóc chłopu, lecz przyszła jego żona i zapłrała Jacek, nie puszczając z ramion Kazi.

— Deine Schwester?... Deine Schwester?...

— Schwester! — przytakną Jacek, nie puszczając z rąk.

I gdy chłop przy pomocy esmanów rozłączył dzieci, żona jego pobiegła do ułoci i bez targowania wyłożyła pieniądze. Następnie wróciła szybko do krzyczącej Kazi i ku zdumieniu chłopa i esmanów ujęła ją za rękę, i przyprowadziła do Jacka.

— Bolief Bolief!... — pogadywała, dając im do zrozumienia, że obojo mają z nią pójść. Chłop protestował, wrzeszczał i groził, lecz żona podparła się pod boki i zaczęła coś szybko mówić. Jej słowa leciały jak tupot galopującego konia, podniosła głos coraz wyżej i znienacka przerwała nagłym machnięciem piększią przed oczami zbaranniałego męża. Esmani zaczęli się zaśmiewać i prać szpicrutami po chołewach, śmiali się tamci „dobrodusznj" panowie za stołami, a kobieta ujęła dzieci za ręce i powiodła z sali z triumfjąca mina. Za nią szedł mąż i drapał się po głowie. Muczał tylko i splwał ze złości.

Na ulicy stały wozy. Między nimi był wóz chłopa. Chłopka pomogła Kazi wsiąść na wóz, okryła ją grubą deką, obłożyła słoma. Jacek usiadł obok niej. Chłop zaciął konie i odejrając coś na swą zonę, pochłał.

Kazia uciszyła się a Jacek rozglądał się po mieście. Ogromne kamienice, na ulicach dużo ludzi, wojska, samochodów, chrogwi — wszystko to oszamiało dzieci. Jacek w pewnej chwili pomyślał, czyby nie porwać Kazi i nie wyskoczyć z wozu... Po prostu, czyby nie sprobować uciekzki... Krchłon jednak pomyślał, że to byrł niemamy pomysł. Czdzieć tu uciekeć? Obcy ludzie, obcy kraj, nie zna niemieckiego języka... Pomyślał z wrzułem, że powinien był wtedy uciekać z Kazią, gdy kolejarze przyszli wyzwalać dzieci z zamkniętyłch wagonów. Teraz już przepadło.

— Jest nas tylko dwojel — rzekł głośno, przygarniając Kazię. Wóz jechał powoli przez wielkie, nieznane niemieckie miasto. Chłop smokał na konie i pykał fajkę, spluwając od czasu do czasu z wyrazną złością. Jego żona zaś odwracała się raz po raz do dzieci i probowała się do nich nieśmiało uśmie-

— Wczoraj... Już drugi dzień... Rafujcie...

— Tyś ranny?

— Ranny! Odłamek bomby·.. — jęknął Dymitr.

— On jest ranny. Wczoraj uciekł z obozu. Co robić? — zwrócił się Jacek do Rogera.

— Rafujemy go! Gdyby tak co, ty nic... Ty o niczym nie wiesz. Biorę wszystko na siebie. Zostanę przy nim, a ty pobiegnij do Frau Heffke. Wyfrumacz jej, że musimy go ratować. To człowiek... Ona chyba nie zdradzi. Stary Heffke zdradzi, lecz on nie będzie wiedział o niczym. Albo nie!... Zaczekaj! Przenieśmy go do tej komórki za oborą. Chwyć go za nogi, ja za ramiona.·. Ostrożnie! Już... Idziemy...

Unieśli go z wysiłkiem i poszli z tym ciężarem do obory, a z oboru do komórki. W komórce było wyrko. Położyli go ostrożnie. Dymitr mdlał. Kew wciąż broczyła z ramienia...

— Idź teraz do Frau Heffke i powiedz jej, że człowiek szukał u nas schronienia. Jeżeli zdradzi, zamorduję!... — cisnął z pasją w duszny mrok komórki.

Mała świecka paliła się w komórce i chybotliwe cienie skakały po zbiedzonej twarzy Dymitra. Dymitr był blady. Leżał z zamkniętymi oczami. Dyszał ciężko. Krew kapała z wyrka na ziemię. Jego pasiaste ubranie było zabłocone i podarte. Na buzie czerwienił się trójkąt. W trójkącie czernia się litera „P". Pod trójkątem był numer 12456. Zastanowiło Rogera, że Dymitr jest Rosjaninem, a na trójkącie znajduje się litera „P". Czyli że jest Polakiem. Lecz mniejsza z tym. Teraz chodzi o to, by tak ukryć owego zbiega, by go nikt nie znalazł.

Z obozu uciekł!... Roger wiedział, że z obozu trudno uciec, czekają go męczarnie w obozie, bicie, często szubienica... Po czym okręgu, już śledzą za nim... Zandarmerła, esmani, Gestapo, sfora szpiclów, może nawet i psy·.. Wszyscy łażą, węszą, szukają... Nie, tego człowieka nie znajdą zbrodniarze!... Pod oborą jest skleplona pieruica. Schodzi się do niej z przegrody, gdzie stoją krowy. Podłoni się poziome drzwi. Na drzwiach jest słoma, na słomie leżą krowy!... Gdyby groziło niebezpieczeństwo, ten człowiek będzie ukryty w piwnicy. Tylko żeby Frau Heffke nie zdradziła. Bez niej, bez jej pomocy nie uratują Dymitra. Tylko żeby nie zdradziła!... Gdyby zdradziła, Roger ją zamorduje!... Podpali, wszystko podpali i zamorduje!...

Posyłszał zbliżające się kroki.

Roger skupił się, przybrał poskawę dzikiego zwierza, gotującego się do skoku.

— Roze! Roze!... Otworz!... — posłyszał głos Jacka.

Otworzył. Przed nim stoi Jacek, za nim Frau Heffke. Jacek trzyma sporą miskę i koneweczkę z wodą, Frau Heffke jakiś zwitek płotna i łaterz z chlebem i masłem.

— To jest człowiek... — zaczął zaczepnie Roger, stając przed gospodynią.

— Jawohl mu, Jatzek, żeby nie był głupi!.·. — mruknęła gospodyni. — a wiem, że to jest „ein homme", że to człowiek... Uciekł tamtym zbrodniarzom...

— Roze, gospodyni powiada, żeś ty głupi, że ona wie, iż to jest człowiek i że uciekł tamtym zbrodniarzom! — powtórzył wiernie Jacek.

— Delicieux! — mruknął uspokojony Roger.

Dymitr milczał, gdy gospodyni stągała z niego bluzę i koszulę i gdy mu jęła obmywać rane ze topłate. Pomagał jej Roger. Jacek świecił. Rana była długa, w kształcie wyorang ruzdy. Krwawiła już słabo. Gospodyni maczała szmatkę, wycierała ją, ogładała, macała ostrożnie palcami. Dymitr sykną, gdy gospodyni jęła rane zalewać jakimś burnatnym płynem. To chyba jodyna ?.·. Gospodyni poszarpała koszulę na długie pasma, jęła obwijać rang. Powoli, ostrożnie... Przeswała pasma pod jego ramię, na ramię, wspak i wszerz, na krzyż. Skończyła wreszcie. Roger pomógł jej przewrócić Dymitra na wznak, pomógł jej podsunąć pod jego głowę poduszkę. Dymitr otworzył oczy i patrzył zdumiony. Gospodyni usiadła na skraju wyrka, wzięła łaterz z chlebem i masłem, krajała, smarowała i podawała zbiegowi.

— Jatzek! — zwróciła się do chłopca. — Skocz do spiżarki. Na trzeciej półce jest garniec z mlekiem. Przynieś... Uważaj, żeby cię stary nie zauważył!...

— Czaruszek! — zawołała cicho na Jacka.

Pobiegł do kuchni po garuszek, przyniósł, podał gospodyni. I teraz patrzył zdumiony, tak radośnie zdumiony, jak gospodyni nalewa mleko do garuszka, jak podnosi głowę Dymitra, jak przykłada garuszek do jego ust, jak pot rannego... Dymitr połyka łapczywie, krztusi się, znowu połyka, a gospodyni poszepłuje:

— Spokojnie... Spokojnie...

Jacek widzi w jej matczrynym geście tyle łikliwości i tyle serca, że siot teraz jak porażony. Ćlina wszystkie tamte ponure wspomnienia, zaciera się, nikną, a na ich miejsce wyrasta trudne do określenia uczucie tak bardzo radosne, że aż w gardle zatyka...

B.D.I.C

ROZTAŃCZONE « MALWY »

NIEWĄTPLIWIE znany jest już Wam, Drodzy Czytelnicy, słynny nie tylko w kraju, ale i za granicą, wspaniały zespół pieśni i tańca „Mazowsze", który święci obecnie tryumfy artystyczne w Chinach. Niewiele natomiast, a może nawet w ogóle nie słyszeliście o innym niemniej znakomitym zespole dziewczęcym — „Malwy".

Popisowy skok solistki w Kujawiaku.

A więc prezentujemy Wam zarówno fotograficznie jak i garścią informacji, ten nowy, młodzieńczy zespół, który zdobył sobie już sympatię publiczności w kraju, a wkrótce ruszy na „podbój" widzów za granicę.

Było to tak. Mniej więcej przed rokiem narodziła się myśl zorganizowania pierwszego w Polsce zawodowego dziewczęcego zespołu tanecznego. Zespoły takie istnieją w Związku Radzieckim (np. „Bierozka" — znana z występów w naszym kraju), cieszą się dużym powodzeniem i spełniają w upowszechnianiu sztuki ważną rolę. Wykonanie projektu powierzono baletmistrzyni, jednej z czołowych polskich tancerek, Stanisławie Stanisławskiej.

Jak malwy są bliskie chłopu i chłopskiemu zrozumieniu piękna, tak samo dziewczęcy zespół taneczny „Malwy" pragnie w swych programach wykazać swój bliski związek z polskim folklorem tanecznym. Zadanie, jakie „Malwy" mają do spełnienia, to przede wszystkim popularyzowanie autentycznych, podawanych w układzie wystylizowanym, tańców ludowych. „Malwy" pokażą więc Wam nie pierwszy lepszy autentyk, lecz tańce, które w formie widowiskowej zawierają charakterystykę zwyczajów ludowych, ilustrację i radość wsi oraz pokazują wpływ doniosłych przemian naszych czasów na to życie.

Publiczne występy „Malw" były poprzedzone długotrwałymi studiami i żmudną, wytrwałą, wielomiesięczną pracą. Zaczęło się od eliminacji. W marcu ub. r. zgłosiło się 150 kandydatek o bardzo różnym poziomie przygotowania tanecznego. Z tej liczby wybrano początkowo dziesięć tancerek, a z biegiem czasu pozyskano jeszcze siedem. Rozpoczęła się nauka, zmierzająca do tego, by młoda kadra tancerek poznała i opanowała dokładnie zasady taneczne. Dzięki codziennym intensywnym lekcjom tańca klasycznego zespół nabierał potrzebnej techniki.

Trudnym zadaniem obarczono baletmistrzynię St. Stanisławską, która, aby zebrać oryginalny materiał taneczny, musiała wielokrotnie wyjeżdżać na wieś w różne strony kraju, gdzie studiowała na miejscu autentyczne formy tańców ludowych, zapisywała melodie i muzykę. Toteż tańce ludowe, które oglądamy w wykonaniu „Malw", są prawdziwym, choć artystycznie opracowanym rodzajem sztuki ludu polskiego.

J. G.

Finał „Spotkania w Warszawie"

Directeur de publication
ZAJAC JOSEPH
Travail exécuté par une équipe d'ouvriers syndiqués
Imprimerie Parisiennes Réunies, R. SEGUIN, Directeur général
10, rue du Fbg-Montmartre, Paris-9e

JAROSŁAW SKULSKI

KRÓLEWSKI KRAWIEC

Krawiec, którego klient za feler w ubiorze
zwymyślał — „Panie — rzecze — jam królów odziewał!"
— „Ach tak? — No to przepraszam. A na jakim dworze?"
— „Nie na dworze. Na scenie. Żaden się nie gniewał".

NA PLANIE

Ożenił się raz aktor. Noc poślubna. Ona
leży w małżeńskim łożu rozkosznie spłoniona,
a on stoi pod drzwiami. — Czemu z wejściem zwleka?
— pyta młoda małżonka — „Ja? — na planie czekam!"

POZORY

„Jak oni się kochają! Mój Boże, mój Boże!"
— rzekła panna w Romea i Julię wpatrzona.
A on właśnie jej szeptał — „Cholero! Nie możesz
mniej mazać mnie tą szminką! Koszula zniszczona!"

TENOR I PIWO

Zaczął rolę tenorem, tak jasnym, jak słońce,
przez trzy akty utrzymał tę liryczną skalę,
aż dramatycznym basem w czwartym ją zakończył.
(Okropnie zimne piwo w bufecie mu dali).

Fragment baletu p.t. „Spartakiada".

Weinert dramaturg

Zmarły niedawno wybitny niemiecki poeta, Erick Weinert, zaczynał swą karierę pisarską — na drodze dramatycznej. W roku 1910, jako 20-letni chłopak wydaje dramat „Thomas Munzer". Po pierwszej światowej wojnie zostaje w roku 1921 recytatorem i poetą estradowym w literackim kabarecie lipskim „Retorte — aby w roku 1923 przenieść się do Berlina, gdzie pracował w słynnym teatrzyku przy Budapester-Strasse pt. „Kuenstler-Cafe". Od roku 1924 Weinert przebiega cały kraj, recytując swe wiersze na 2000 zebrań robotniczych; gdy rząd republiki weimarskiej zakazał mu publicznych występów, recytuje wiersze Weinerta żona jego, wybitna artystka Liana. W latach 1936 — 1939 na froncie Brygad Międzynarodowych w Hiszpanii pisze Weinert krótkie utwory dramatyczne dla teatrów żołnierskich; niektóre z nich zostały potem wydane w zbiorze poetyckim z r. 1951 „Camaradas". Ostatnie 5 lat Erick Weinert, ciężko chory, spędził w szpitalu, — ale bynajmniej nie przestał pracować. Otrzymał dwukrotnie państwową nagrodę literacką. „Jego życie było wypełnione nieznużoną pracą i twardą walką" napisał po śmierci Weinerta premier NRD Otto Grotewohl.

Jeden z najsławniejszych wierszy Weinerta poświęcony był polskiemu robotnikowi niewinnie skazanemu za rzekome zabójstwo w roku 1933, Jakubowskiemu.

Jarosław Iwaszkiewicz

PODRÓŻ DO CHILE

KONTYNENTALNY Kongres Kultury, zwołany przez działaczy południowo-amerykańskich do Santiago na 26 kwietnia rb. miał specjalne znaczenie dla wszystkich krajów Ameryki Łacińskiej. Po raz pierwszy w historii przedstawiciele poszczególnych republik środkowej i południowej części

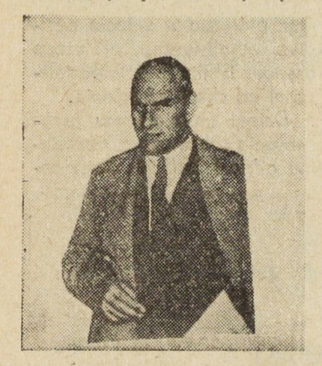

Jarosław Iwaszkiewicz

tego kontynentu zjechali się do jednego miasta, aby omówić najważniejsze bolączki kulturalne swoich krajów, a zarazem zastanowić się nad tym, jakie sprawy są dla nich wspólne. Trzeba bowiem wiedzieć — co było dla mnie jeszcze jedną niespodzianką, których tyle zgotowała mi podróż — że te republiki amerykańskie, które może łączyć i wspólny (prócz Brazylii) język i wspólne dziedzictwo kulturalne — przedzielone są od siebie bardzo mocnymi ścianami wzajemnego niezrozumienia i nieznajomości.

Zwłaszcza największy z tych krajów, olbrzymia Brazylia, trwa w zupełnej izolacji kulturalnej od swych sąsiadów. Przyczynia się do tego także i język portugalski, jakim tu mówią, w przeciwieństwie do wszystkich innych państw, gdzie panuje język hiszpański. Brazylia do tego stopnia jest odosobniona, że nawet największy brazylijski pisarz współczesny, Jorge Amado, którego przekłada się na wszystkie języki europejskie, jest zupełnie nieznany w Chile i dzieła jego dotychczas nie są przełożone na język hiszpański.

Wszelkie dziedziny życia kulturalnego poszczególnych państw są całkowicie osamotnione, i jednym z najbardziej „radykalnych" w oczach uczestników Kongresu w Santiago postulatów, zgłoszonych w czasie obrad, było zalecenie utworzenia we wszystkich stolicach republik „Księgarni Wszystkich Ameryk" — takiej centrali księgarskiej, gdzie by można było gromadzić dzieła ogłaszane w rozmaitych państwach. Dzisiaj bowiem nie można dostać w Chile dzieł pisarzy argentyńskich, a w Argentynie dzieł chilijskich — chociaż i jedne i drugie pisane są po hiszpańsku i są całkowicie zrozumiałe dla obywateli obu krajów.

Tak samo przedstawiają się sprawy teatralne i filmowe. Panuje w nich kompletna rozdzielność, podczas kiedy zjednoczenie wysiłków mogłoby dać doskonałe rezultaty, a w każdym razie wzmocnić sytuację filmu południowo - amerykańskiego. Na razie taka, np. Brazylia jest poważnym odbiorcą filmów północno-amerykańskich najgorszego gatunku. Stanowi ona — jak to stwierdził w swoim niezwykle ciekawym przemówieniu filmowy działacz z San Paulo, Jose Ortiz Monteiro — trzeci z kolei rynek światowy dla filmów holywoodzkich. W samym tylko San Paolo sprzedaje się pięćdziesiąt milionów biletów kinowych rocznie, a

Malarka chilijska
Mireya Lafuente

koszt sprowadzania filmów ze St. Zjednoczonych pochłania wartość dwudziestu milionów worków kawy, czyli jedną trzecią produkcji tego podstawowego towaru eksportowego, otrzymywanego w najważniejszym pod tym względem stanie brazylijskim, stanie San Paolo. Wysiłki mające na celu zjednoczenie produkcji filmowej krajów Ameryki Łacińskiej, na razie chociażby w dziedzinie filmów dokumentalnych czy też turystycznych, staną się zapewne jednym z konkretnych wyników Kongresu w Santiago.

Kongres ten zgromadził ze wszystkich prawie republik amerykańskich najwybitniejszych przedstawicieli w dziedzinie literatury, malarstwa, muzyki, nauki, kinematografu itd.

Niezwykle energiczna i okazała jest delegacja brazylijska z demokratycznym pisarzem Originesem Lessą na czele. Nawiasem mówiąc Origines Lessa, wielki przyjaciel Polaków, którego spotykałem często przed czterema laty w domu naszego posła w Brazylii, profesora Wrzoska — jest (pro domo mea) także tłumaczem na portugalskie „Lata w Nohant". Bardzo interesująca była delegacja argentyńska. Z niej najbardziej się zaprzyjaźniłem z pisarką Marią Rosa Olivier, którą spotykałem zresztą na Kongresie Pokoju w Warszawie i na Kongresie Narodów w Wiedniu. Interesująco rozmawiałem także z profesorem Bermanem, znakomitym psychiatrą z Cordoby, wielkiego miasta argentyńskiego.

Otwarcie Kongresu odbywa się w głównym Teatrze Miejskim Santiago. Wybudował go ten sam architekt, który zbudował Operę Paryską. Teatr w Santiago (położony w najbliższym sąsiedztwie ambasady francuskiej) był jak gdyby szkicem doświadczalnym do słynnego gmachu paryskiego.

Śpiewaczka chilijska
Margot Loyola

W tej okazałej sali przemawiam przeto na otwarciu, jako na razie jedyny delegat państw poza amerykańskich. Przemawiam po polsku i niewiele jest osób na sali, które moje słowa rozumieją, Ale kiedy na początku mojej mowy powitalnej pada nazwisko wielkiego Polaka i wielkiego Chilijczyka, przyjaciela Adama Mickiewicza, Ignacego Domejki, salą od góry do dołu przebiegają huczne oklaski. Jest to moment wzruszający. Tradycja tego człowieka jest tak żywa, tak obecna dla każdego Chilijczyka, że nawet wymienienie jego nazwiska przeze mnie wywołuje już dreszcz entuzjazmu i manifestacje serdeczności pod adresem mojej ojczyzny. Wielkie wspomnienie pozostawił po sobie ten człowiek!

Na zakończenie Kongresu przemawiam również. W tydzień po otwarciu! Zakończenie to podsumowuje wcale poważne rezultaty. Apel do przedstawicieli kultury pięciu mocarstw, aby zjechali się do jednego z państw Ameryki Łacińskiej na pierwsze rozmowy w sprawie wymiany dóbr kulturalnych, które mogłyby być wstępem do rozmów rządowych w sprawach politycznych. Utworzenie porozumiewawczej Rady dla spraw kulturalnej wymiany pomiędzy państwami republik amerykańskich, do której to Rady powołano najpoważniejszych przedstawicieli wszystkich biorących udział w zjeździe państw, a której pierwszą sesję wyznaczono już na lipiec w Rio de Janeiro. Wreszcie szereg odezw i postanowień, w sprawach literatury, malarstwa, teatru, nauki, prawa itd. Wyrażają one postulaty poprawy sytuacji we wszystkich tych dziedzinach pod względem nauczania, wymiany, wzajemnego omawiania doświadczeń, wreszcie oparcia się na wspaniałych tradycjach ludowych Ameryki Łacińskiej i nawiązania do historycznego przebiegu dziejów tego kontynentu, nie ograniczając się tylko do tradycji hiszpańskiej czy portugalskiej, ale także do tradycji kultur przedkolombijskich, których liczne ślady pozostały jeszcze zupełnie żywe.

W napisach kongresowych uderza jedna rzecz. Obok języka hiszpańskiego, portugalskiego, francuskiego i angielskiego widnieje tam jeszcze jeden napis w języku „guarani", najbardziej rozpowszechnionym na kontynencie języku tubylców, „aborygenów" jak nazywają ich tutejsi działacze kulturalni.

Kwestia tradycji indiańskich jest teraz najbardziej palącym zagadnieniem dla wielu działaczy sztuki i nauki Ameryki Południowej.

„Wielu z nas traktuje te sprawy — powiedział Diego Rivera w jednym ze swych licznych przemówień — jak archeologię. Ale przecie to jest szesnasty czy siedemnasty wiek! Jakaż to archeologia? To jest historia — i to historia najnowsza! Popatrzcie na nasze twarze ! Wszyscy jesteśmy w mniejszym lub większym stopniu Indianami" (O ile chodzi o twarz samego Diega, to rzeczywiście ma on zupełnie rację).

Toteż najżywsze zainteresowanie budzą teraz studia wielu uczonych poświęcone badaniom zmarłych czy zanikających kultur. Nie dotyczy to jedynie zapadłych w nicość tajemnic kultury Mayów na Yukatanie czy też niewyjaśnionych zagadek Wysp Wielkanocnych, ale również żyjących dziś jeszcze Indian Araukańskich czy też plemion Ziemi Ognistej, badanych przez profesora Lipszutza, plemion Yamanów czy Alakalufów.

Ile w tych zamierających kulturach „aborygenów" jest jeszcze sił żywotnych i urody świadczą chociażby przepiękne pieśni araukańskie, zebrane, zapisane i genialnie interpretowane przez ludową śpiewaczkę chilijską Margot Loyola. — Jest to jedno z najciekawszych zjawisk, z jakimi zetknąłem się na Kongresie w Santiago.

Jarosław Iwaszkiewicz

SŁYNNA TANCERKA TCHERINA ZAWIERA ZWIĄZEK MAŁŻEŃSKI.

Ludmiła Tcherina, słynna primabalerina zawarła kilka dni temu związek małżeński z p. Roy. Ślub odbył się w merostwie w Neuilly s. Seine.

Na zdjęciu: młodzi małżonkowie po złożeniu podpisów w księdze rejestracyjnej.

(Fot. Keystone).

Niedziela w chińskiej księgarni

W niedzielę rano mieszkaniec Pekinu idzie do parku albo do księgarni. Powiecie pewnie — może iść i tu, i tam. Wszak kupienie książki nie zajmuje tyle czasu. Omyłka. W księgarni spędza się około 2 godzin. I to nie w jednej. Przecież cała przyjemność to szperanie. Przy okazji można też niejedno przeczytać.

Na głównej ulicy handlowej stolicy Chin księgarń jest wiele. Dwie największe z nich to księgarnie międzynarodowa i księgarnia „Sin Hua". Obie są państwowe. I obie ściągają największe masy klientów.

Księgarnia Sin Hua jest to olbrzymi, nowocześnie urządzony sklep. Pod ścianami półki. W środku sali liczne stoły z rozłożonymi nowościami. Panuje tu nieopisany tłok. W zasadzie ludzie obsługują się sami. Książki ułożone są działami i każdy szpera przy półkach, które go interesują. Oto w kącie z literaturą dziecięcą rozsiada się na podłodze dosyć duża grupka pionierów w czerwonych krawatach. Każdy z nich wyciągnął jakąś interesującą książkę i czyta ją na miejscu, nie zwracając żadnej uwagi na tłoczących się wokół ludzi. Sprzedawcy przechodzą obok dzieci i uśmiechają się. Wiadomo, że dziecko nie kupi żadnej książki, ale którąś z nich przeczyta. Niech czyta. Czegoś się przy tym nauczy. Grupa studentów przy stole z najnowszymi broszurkami o treści politycznej — to już potencjalni nabywcy. Oni też przejrzą dokładnie tuzin książek, zanim kupią jedną. Nikt się temu nie dziwi. Każda duża księgarnia w Chinach staje się w niedzielę, gdy ludzie mają więcej czasu, zaimprowizowaną czytelnią.

Chińczycy żywią wielki szacunek dla książki. Nie ma więc obawy, że taki przeczytany tom wróci na półkę brudny, czy pognieciony, albo, że wróci nie na swoje miejsce. Toteż sprzedawcy nie ingerują. Przecież książka jest po to, żeby ją czytać, a największe nawet nakłady okazują się stale niewystarczające. Tak więc ekspedienci w księgarniach są raczej informatorami i doradcami aniżeli sprzedawcami. Gdy ktoś zdecyduje się już na kupno książki, podchodzi z nią do stoiska księgowego, pokazuje tom, który chce nabyć, otrzymuje dwa kwitki, i przy sąsiednim okienku płaci kasjerowi. Ten zatrzymuje jeden kwitek. Z drugim kupujący wraca do pierwszego okienka, gdzie czeka już na niego przygotowana paczka. Mimo olbrzymiego tłoku i braku nadzoru — nie zdarza się, aby ktoś wyniósł książkę bez zapłaty.

Publiczność w księgarniach jest bardzo różna. Obok starych siwobrodych intelektualistów w dawnym stylu — tłumy roześmianych pionierów, obok robotników, którzy dopiero nauczyli się czytać i wybierają broszury z największymi znakami — studenci szybko przerzucający stosy nowości, kobiety z dziećmi na ręku, żołnierze, urzędnicy i milicjanci. Wszyscy czują się tu jak u siebie w domu, szperają, przeglądają czasopisma, dostawiają sobie drabiny ,aby zapoznać się z zawartością wyższych półek.

Oto na półce Goethe obok Puszkina, Dickens i Thackeray obok Sołtykow-Szczedrina, Maupassant i Balzac obok Czechowa i Tołstoja. Barbusse obok Simonowa. A dalej: Wybór dzieł Marii Konopnickiej w języku rosyjskim, nowelki Prusa, Sienkiewicza. Wszystko wydane w Moskwie — przyjechało tu z Pekinu, aby zaznajomić lud chiński z kulturą zachodu.

Jerzy Lobman

KAROL MARKS - CZŁOWIEK MYŚLI I CZYNU

(1818-1883)

MINĘŁO 135 lat od chwili, gdy w niemieckim miasteczku Trewirze, urodził się genialny myśliciel i rewolucyjny działacz Karol Marks.

Jego inteligencja twórcza i głębokie przekonanie, że teorie społeczne, które głosił mogą być urzeczywistnione, nie dały mu spocząć na laurach naukowych, lecz pchnęły go do pracy publicystycznej, agitacyjnej i organizacyjnej.

Marks studiował na uniwersytetach w Bonn i Berlinie historię i filozofię. W roku 1842 miał się habilitować na docenta filozofii, ale, proszony przez właścicieli „Gazety Reńskiej", obejmuje redakcję polityczną tej gazety.

Niełatwe to było zadanie w ówczesnych warunkach srogiej cenzury, Marks potrafił sobie z nią jednak poradzić, dzięki czemu udawało mu się ostro krytykować rząd. Cenzurą połapała się nieco później, na skutek czego „Gazeta Reńska" zostaje zamknięta w roku 1843.

Charakterystyczny i niepozbawiony humoru wypadek z cenzorem gazety oświetli te stosunki. Skonfiskował on ogłoszenie o wydaniu niemieckiego tłumaczenia „Boskiej Komedii" — Dantego, *) uzasadniając konfiskatę następującym argumentem: „Z boskich spraw nie należy robić komedii".

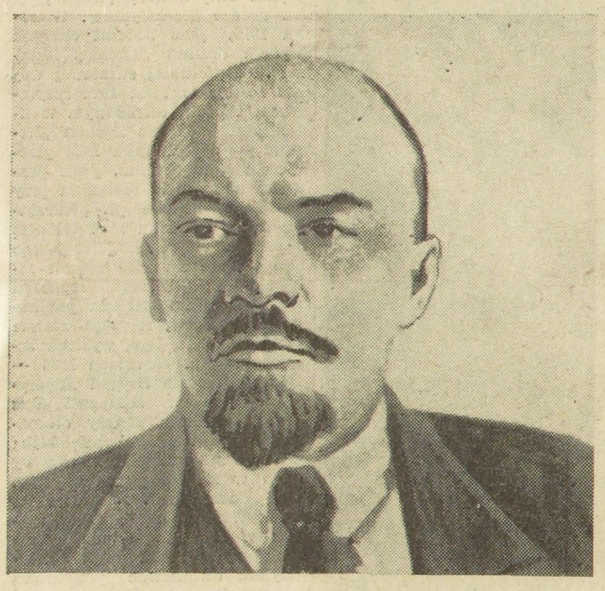

Włodzimierz Lenin — genialny kontynuator dzieła Marksa i Engelsa

Po zamknięciu gazety Marks udaje się do Paryża, gdzie wydaje „Roczniki Niemiecko - Francuskie" ogłaszając w nich teoretyczną pracę, „Krytykę heglowskiej filozofii prawa". Studiując następnie materiały do historii Francuskiej Rewolucji nie zaniedbuje on spraw niemieckich. Jego ataki na rząd pruski do tego stopnia oburzyły policję pruską, że się postarała u władz francuskich o wydalenie Marksa z Francji, co nastąpiło w roku 1845.

Marksa te prześladowania nie złamały.

W Brukseli, dokąd się przesiedlił z Paryża, wstępuje Marks do „Związku Komunistów". Kongres „Związku" powierza mu opracowanie zasad partii, które miały być ogłoszone w Manifeście. W styczniu 1848 Marks wspólnie z Engelsem opracowuje „Manifest Komunistyczny", w ten sposób stworzone zostały podwaliny partii o charakterze internacjonalistycznym. Wielu Polaków, Węgrów i in. należało podówczas do „Związku".

Rząd belgijski, który zląkł się ruchu rewolucyjnego, ogarniającego coraz to nowe narody Europy, ujrzał w Marksie niebezpiecznego wroga i wydalił go z Belgii.

Irzeczywiście, wszystkie prawie ludy Europy powstawały przeciw swym ciemięzcom. Buntował się w marcu 1848 r. Wiedeń, w czerwcu Paryż, zbuntowali się Węgrzy pod wodzą Koszuta.

We wszystkich tych powstaniach nie brakło Polaków. Walczyli oni ramię przy ramieniu z innymi narodami „o wolność waszą i naszą". Najwybitniejszym z nich był generał Józef Bem, na Węgrzech.

Ale pierwsze hasło do walki, padło jednak na ziemiach polskich i w roku 1846 wybucha powstanie krakowskie.

Oto słowa Marksa wypowiedziane w Brukseli na uroczystości poświęconej drugiej rocznicy tego powstania:

„...Ludzie, którzy stali na czele krakowskiego ruchu rewolucyjnego, byli głęboko przekonani, że jedynie demokratyczna Polska może być niepodległa i że demokracja polska jest niemożliwa bez zniesienia praw feudalnych, bez ruchu agrarnego, któryby z chłopów pańszczyźnianych uczynił wolnych nowoczesnych właścicieli.

Postawcie na miejscu autokraty rosyjskiego arystokratów polskich, a dokonacie naturalizacji despotyzmu. Jeżeli nawet nad polskim dziedzicem nie będzie dziedzica rosyjskiego, chłop polski dalej będzie miał nad sobą dziedzica, co prawda wolnego, nie ujarzmionego. Ta zmiana polityczna nic a nic nie zmieni w stanowisku społecznym chłopa polskiego.

Rewolucja krakowska dała dalej Europie piękny przykład, utożsamiając sprawę narodową ze sprawą demokracji i wyzwolenia klasy uciśnionej.

...Polska znowu podjęła inicjatywę, ale nie jest to już Polska feudalna, lecz Polska demokratyczna i od tej chwili wyzwolenie jej staje się kewstią honoru dla wszystkich demokratów europejskich".

ROK 1848: „Wiosna Ludów" ogarnęła i Niemcy. Marks wraca do Kolonii i wydaje tu „Nową Gazetę Reńską", w której popiera czerwcowe powstanie 1848 r. w Paryżu. I znowu władze zabraniają wydawania gazety, bez której pobyt Marksa w Niemczech traci rację bytu i po raz trzeci udaje się on do Paryża, skąd znowu zostaje wysiedlony. Ostatni raz bierze Marks kij wędrowny do ręki i przesiedla się do Londynu, gdzie już pozostaje do śmierci, która nastąpiła w marcu 1883 roku.

Zaczyna się nowy okres w życiu Karola Marksa. W Muzeum Brytyjskim znajduje bogatą skarbnicę źródeł naukowych z dziedziny ekonomii politycznej. Latami zbiera materiały z historii rozwoju społeczeństw i dokonuje odkryć które wywołają przewrót w umysłowości ludzkiej, stworzą nowe pojęcia i wskażą nowe drogi.

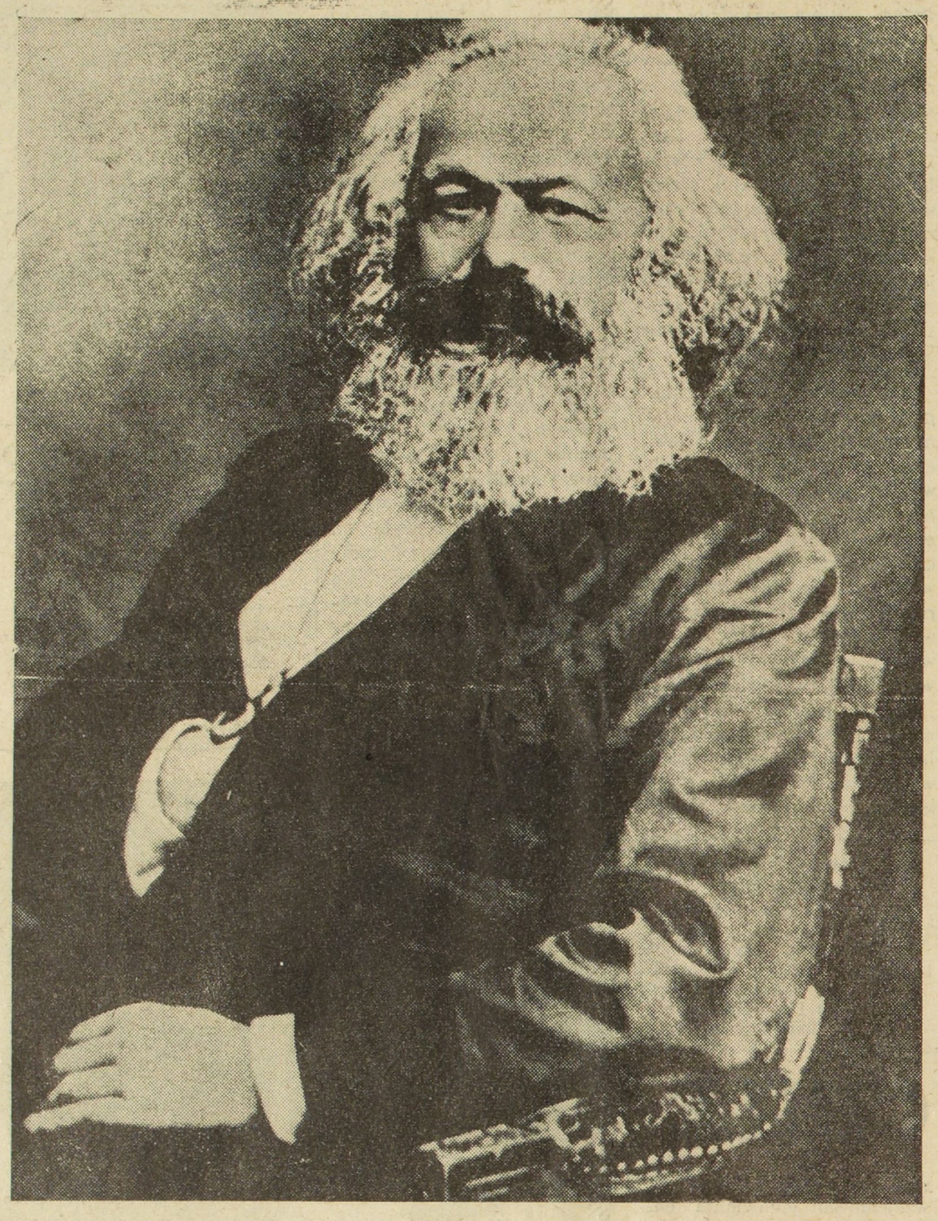

JAKIE TO BYŁY ODKRYCIA?

„Marks dowiódł, że cała dotychczasowa historia ludzkości jest historią walk klasowych; że we wszystkich tak samo prostych jak i skomplikowanych walkach politycznych rozchodzi się jedynie o społeczne i polityczne panowanie klas społecznych, o utrzymanie panowania ze strony klas starych, o zdobycie panowania ze strony klas nowych (Engels).

Klasy zaś, jak to wskazuje historia, powstają, rozwijają się i znikają w zależności od istniejących warunków materialnych. Rozwój miast, na przykład, przyczynił się do upadku feudalizmu, a rozwój techniki, który przyniósł nowe odkrycia i wynalazki do tego stopnia wzmocnił burżuazję, że ta się poczuła dość silną, by móc zdobyć władzę polityczną przez dokonanie rewolucji (Anglia, Francja itd.).

Dalszy i nieustający rozwój sił produkcyjnych proletariatu musi w końcu doprowadzić do zaostrzenia przeciwieństw z burżuazją i jej upadku.

By zdobyć władzę klasa robotnicza musi być zorganizowana, silna i świadoma swoich celów i swojej potęgi. Marks nie uważał, jak inni uczeni przed nim, że filozofia i nauka są oderwane od życia i że los ludów jest zależny jedynie od myśli uczonego, od od wagi dowódcy lub łaski możnowładcy.

Marks łączył teorię z praktyką: Doszedłszy do przekonania, że ustrój społeczny kapitalizmu nie jest wieczny i że robotnicy są powołani do wzięcia swego losu we własne ręce, przystąpił do zorganizowania ruchu robotniczego.

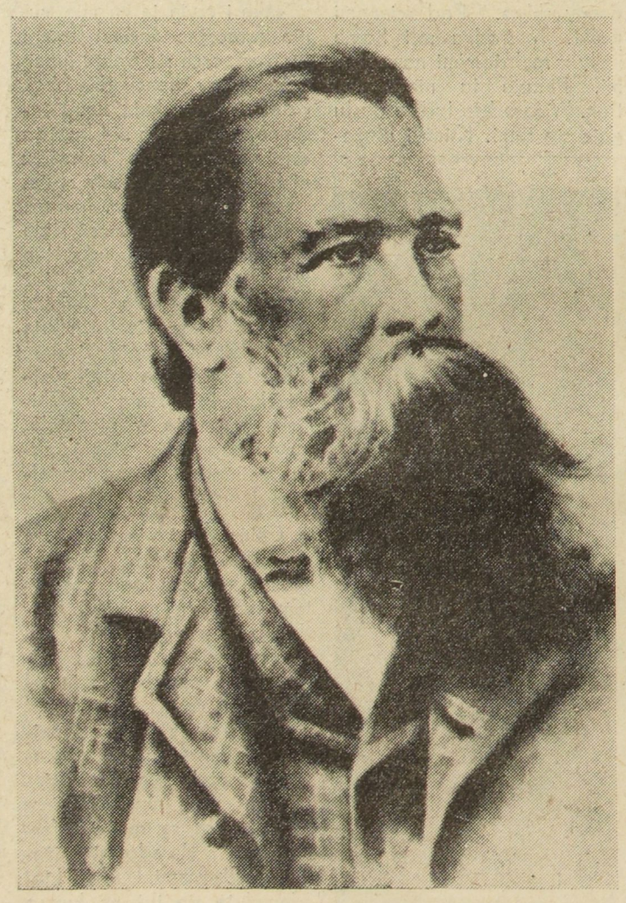

FRYDERYK ENGELS

26 września 1864 r. odbyło się w Londynie zgromadzenie ludowe na znak sympatii do Polski, w związku ze zdławieniem przez władzę carską Powstania Styczniowego. Przy tej sposobności została poruszona sprawa solidarności robotników całego świata i utworzona Pierwsza Międzynarodówka, której twórcą i duchem był Marks.

Jak widzimy nie było to pierwsze wystąpienie Marksa w kwestii polskiej. Zarówno Marks jak i jego przyjaciel Engels od dawna odnosili się z sympatią do walki wyzwoleńczej narodu polskiego. Cenił on wysoko przyjaźń swoją z Joachimem Lelewelem i nawet po kilkunastu latach wspomina w liście do niego, że nie zapomni „przyjacielskiego charakteru stosunków, które utrzymywałem w Brukseli z polską emigracją".

W liście do Engelsa pisze: „Przy nowych studiach nad historią Polski przekonałem się, że intensywność i żywotność wszystkich rewolucji od 1789 można, na ogół, mierzyć ich stosunkiem do Polski. Polska jest ich „zewnętrznym" termometrem".

Innymi słowy według Marksa rewolucyjny ruch, który nie popiera niepodległości Polski wystawia sam sobie świadectwo ubóstwa.

U Przytomnijmy sobie teraz jak dalekowzroczni byli twórcy socjalizmu naukowego.

Żadna partia polityczna prócz socjaldemokratycznej, (późniejszej komunistycznej) nie włączyła w swój program wyzwolenia Polski. A Engels przepowiedział w roku 1874:

„Niepodległość Polski i rewolucja w Rosji warunkują się wzajemnie. A... rewolucja w Rosji... znacznie jest bliższa niż to wygląda na pierwszy rzut oka".

Weźmy dla przykładu sprawę granic z Niemcami.

W 1848 r. pisał Engels w „Nowej Gazecie Reńskiej": „Narodowe istnienie Polski nie jest dla nikogo bardziej konieczne niż właśnie dla nas Niemców... Powstanie Polski i uregulowanie sprawy jej granic z Niemcami jest... nie tylko konieczne, jest ono również jedną z najbardziej łatwych do rozwiązania kwestii politycznych, które wyłoniły się od chwili rewolucji w Europie Wschodniej...

Polska... musi obejmować nie tylko obszar, ale również ujścia swych wielkich rzek, musi posiadać przynajmniej nad Morzem Bałtyckim znaczny pas wybrzeża".

Jasne jest, że chodzi tu o Wisłę i Odrę. Taki był stosunek Marksa i Engelsa do sprawy powstania nie „pozorów Polski, lecz do sprawy powstania państwa zdolnego do życia".

Powstanie takiego państwa w pojęciu Marksa było kwestią międzynarodową i wymagało jedności proletariatu wszystkich krajów w walce o obalenie rządów absolutnych, zwłaszcza w Niemczech i w Rosji.

W tym samym czasie Marks pracował nad swoim epokowym dziełem „Kapitał", w którym udowodnił, że bogactwa kapitalistów pochodzą z „wartości dodatkowej".

Wartość dodatkowa jest to niezapłacona praca robotnika. Pochodzi ona bynajmniej nie z obrotu towarowego, jak to fałszywie twierdzą kapitaliści, lecz z wyzysku klasy robotniczej.

W jaki sposób zwiększa kapitalista wartość dodatkową, którą otrzymuje w końcu procesu produkcji? Jak wiemy wartość dodatkowa jest to nie opłacona praca robotnika. Robotnik potrzebuje np. 4 godz by odtworzyć tę sumę wartości którą otrzymuje w postaci pracy. Pozostała część dnia robocza będzie już nieopłaconą pracą robotnika; dochód z tej pracy idzie do kieszeni kapitalisty.

Prawo wartości dodatkowej, panujące w świecie kapitalistycznym stało się kamieniem węgielnym, fundamentem całego systemu ekonomii politycznej marksizmu.

To odkrycie źródeł bogactwa kapitalistów wywołało nienawiść ich w stosunku do Marksa, ale jednocześnie też przyczyniło się do podniesienia świadomości robotnika i dodało mu otuchy w jego walce o sprawiedliwy podział dóbr społecznych, o władzę klasy robotniczej.

Od czasu utworzenia Międzynarodówki Robotniczej wzrosła solidarność robotników całego świata. W Komunie Paryskiej 1871 r. walczyli razem z ludem francuskim i polscy rewolucjoniści: Dąbrowski, Wróblewski, członek Międzynarodówki.

Z polecenia „Międzynarodówki" Marks wystosował Manifest do Komuny Paryskiej, w której on widział pierwszy przykład władzy klasy robotniczej.

W liście do swego przyjaciela Kugelmana z dnia 12 kwietnia 1871 r. czytamy:

„...Bez względu na wszystko, obecne powstanie paryskie — choćby uległo ono wilkom, świniom i podłym psom starego społeczeństwa — jest najwspanialszym czynem naszej partii od czasu powstania czerwcowego".

Józef Stalin, najbliższy współpracownik Lenina i kontynuator Marksa i Engelsa

A 17-go kwietnia tj. wciąż w okresie rządów Komuny pisze:

„Walka klasy robotniczej z klasą kapitalistyczną... weszła dzięki Komunie Paryskiej w nową fazę. Jakikolwiek będzie jej wynik bezpośredni, został uzyskany tym razem nowy punkt wyjścia o doniosłości ogólnoświatowej i historycznej".

Że tak jest świadczy o tym dalszy rozwój ruchu robotniczego i jego solidarność klasowa.

Strajki robotnicze w jednym kraju wywołują akcje solidarności w formie pomocy materialnej, opieki nad dziećmi strajkujących robotników innych krajów. Walka wolnościowa narodu hiszpańskiego wywołała ruch solidarnościowy u robotników całego świata i ramię przy ramieniu z narodem hiszpańskim walczyli i ginęli Polacy, Niemcy, Czesi, Francuzi.

TEORIA socjalizmu naukowego, stworzona przez Marksa została dalej rozwinięta przez Lenina i Stalina, którzy ją urzeczywistnili tworząc pierwsze w świecie państwo socjalistyczne, walczące o swoje istnienie z imperialistami od chwili powstania.

Dzięki umiejętnemu przyswojeniu sobie zasad marksizmu odparł Związek Radziecki nawałę hitlerowską i pomógł w walce o stworzenie Nowej Polski Demokratycznej, która czerpie siły z ożywczego źródła teorii marksistowskiej, bez której nie byłoby obecnej tam rzeczywistości: odbudowa, dobrobyt, solidarność klasy robotniczej i chłopskiej w walce o silną Polskę, w walce o pokój.

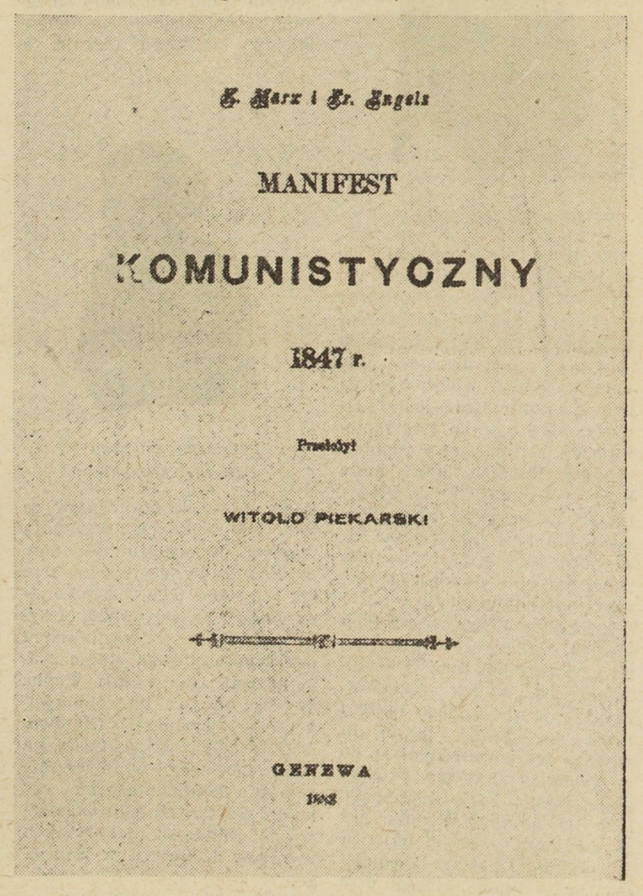

K. Marx i Fr. Engels

MANIFEST

KOMUNISTYCZNY

1847 r.

Przełożył

WITOLD PIEKARSKI

GENEWA

1848

Pierwsze wydanie „Manifestu Komunistycznego" w języku polskim

Karol Marks, Fryderyk Engels i trzy córki Marksa (fotografia z lat siedemdziesiątych, Londyn).

*) Dzieło włoskiego poety (1265 — 1321) opisujące wizyjną wędrówkę poety po piekle, czyśćcu i niebie. Jest ono wszechstronnym zobrazowaniem życia i światopoglądu średniowiecznego.

B.D.I.C

PO PIĘTNASTU LATACH...

Pierwsze wiadomości prasowe o VI Międzynarodowym Wyścigu Pokoju były alarmujące. Wściekła pogoda — deszcze, grad, przelotne śniegi — przypadła na najtrudniejsze odcinki trasy, na górskie etapy Czechosłowacji i Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Zniwo tych nieprzyjaznych żywiołów było zastraszające: wycofały się całe drużyny Szwecji, Norwegii, Węgier i Finlandii, inne jechały poważnie przetrzebione, na każdym etapie ktoś ubywał i to często kolarz utalentowany, dobrze wytrenowany, wytrzymały. Zrezygnował z jazdy zwycięzca jednego z etapów, znakomity Belg-Eloot (z trudem zsiadł z roweru, zmarznięty na kość), odpadł jego kolega Vanhoven, wypadła z klasyfikacji drużyna angielska, która na początku odniosła niejeden sukces zespołowy. Wycofali się także trzej Polacy: Hadasik, Wójcik i Ulik. Wyścig Praga — Berlin — Warszawa, już w swoim założeniu trudny ze względu na długą — 2200 km. liczącą trasę, okazał się najwyższą próbą sprawności kolarza. Dlatego właśnie z takim napięciem oczekiwano zakończenia każdego etapu i, rzecz prosta, wyniku ostatecznego.

Przekraczając granicę polską w Zgorzelcu polscy kolarze przynieśli ze sobą smutne wspomnienia klęsk na kilku ostatnich etapach. Moment był nad wyraz dramatyczny: jeden z polskiej ocalałej trójki, Klabiński, poważnie chory na żołądek, wzbudzał obawy, czy będzie mógł dalej jechać. Wyobraźcie sobie teraz: wyścig przejedzie przez polskie ziemie, bez polskiej drużyny!

Trzeba przyznać szczerze, że niejeden z polskich obserwatorów wyścigu był kompletnie załamany — nie przyznawał się do tego oczywiście, nadrabiał miną, starał się sugerować kolarzom a przede wszystkim sobie samemu, że teraz, w Polsce, pójdzie już inaczej, ale... w gruncie rzeczy nikt nie potrafił przezwyciężyć wątpliwości.

I wtedy właśnie można było zaobserwować w Zgorzelcu charakterystyczną scenę. Przechodzili właśnie przez most zgorzelecki zawodnicy różnych państw, witani gorącymi brawami, tak jak przystało witać uczestników wyścigu, który nie jest tylko zwykłą imprezą sportową, ale czymś ponadto, jakimś spontanicznym objawem międzynarodowej solidarności sportowców. Szli bezładnymi grupkami, w różnobarwnych dresach, pstrych skarpetkach, fantazyjnych czapkach i czapeczkach; na piersiach odczytywano napisy: „England", „Suomi", „Trieste"... i nagle przez wiwatujący tłum przewala się okrzyk silniejszy, serdeczniejszy niż poprzednie: Polonia Francuska!

Było w tym okrzyku coś więcej niż powitanie drużyny biorącej udział w międzynarodowych zawodach, była w nim nuta nadziei na rehabilitację Polski. Bo jakże to? Mówiło się szeroko o porażkach Polski, a rzadko wspominano, że w barwach Polonii Francuskiej jadą właśnie Polacy, jadą dobrze, szybko i wytrwale, zawsze na jednym z czołowych miejsc.

Drużynie przewodzi syn górnika z północno - francuskiego zagłębia Wacław Pawlisiak, były górnik, który wniósł do swego stylu jazdy wszystkie zalety swego dawnego zawodu: niezłomny charakter, siłę fizyczną, ambicję, nieustępliwość. Jest starym kolarzem, ma już 38 lat, ma za sobą doświadczenie wielu wyścigów, nawet tak poważnych jak „Tour de France". Najlepszy taktyk Polonii Francuskiej wsławił się przy tym błyskawicznym finiszem na jednym z etapów: już na stadionie minął 19 zawodników i zapewnił sobie siódme miejsce na mecie. Czy możliwe, żeby teraz zawiódł?

Nie — szybko, jak najszybciej dojedzie do Warszawy, której nie widział od dzieciństwa, a o której tyle ostatnio słyszał. Wszystkie swoje umiejętności zużyte na to, aby wykazać, jak drogie będzie dla niego zwycięstwo właśnie na ziemi polskiej, którą musiał przed wieloma laty opuścić wraz z rodzicami. Być może mieszkająca gdzieś pod Poznaniem stara matka (nie widział jej od 15 lat) czyta gazety i dowie się, że kilkadziesiąt tysięcy ludzi na stadionie skandowało nazwisko „Pawlisiak"...

A inni? 19-letni Czesław Chraplak, najmłodszy, beniaminek drużyny, wesoły chłopak z Marles-les-Mines (P. de C.), któremu matka dopiero dwa lata temu kupiła rower, bo wcześniej nie sposób było odłożyć tak wielkich oszczędności? Jest młody i niedoświadczony — to prawda — ale silny, inteligentny, ambitny. Nie przepuści takiej okazji, jaką jest wyścig w stawce najlepszych, amatorskich kolarzy Europy. To samo Piotr Wyszyński, 21-letni zwycięzca wyścigu dokoła Paryża, sympatyczny „drągal", który wzbudzał powszechną uwagę (szczególnie kobiet) już nie tylko doskonałą jazdą, ale także i urodą. — To samo Jan Radowicz, 22-letni robotnik z Valenciennes, kolarz odważny, silny, pracowity. Ci również nie zawiodą...

Tak rozważano w Zgorzelcu, kiedy przed kolarzami stała otworem trasa do Warszawy, jak wielka niewiadoma, trasa, na której Polacy, zarówno ci z kraju jak i ci z emigracji, mieli zrehabilitować dobre imię polskiego kolarstwa, albo pogrzebać je na długo...

Nadzieje i rachuby na to, że wśród polskiego pejzażu, wśród polskiej publiczności, która nieprzerwanym tłumem obstawiła całą trasę aż do Warszawy, żywiej zagra wola zwycięstwa obu polskich drużyn — sprawdziły się w całej rozciągłości. Znamy już z prasy codziennej przebieg tej zaciętej, nieustępliwej walki, której widownią stały się szosy, prowadzące do Wrocławia, do Stalinogrodu, Łodzi, Warszawy. Wiemy, że pierwszy na wrocławski stadion wpadł Królak, ten najbardziej utalentowany z polskich zawodników, warszawski chłopak o potężnych mięśniach i silnych nerwach, pełen woli zwycięstwa, dobry taktyk i wzorowy kolega. Ale nie dość może szeroko opisano wybuch entuzjazmu, jaki towarzyszył pojawieniu się na mecie Wacława Pawlisiaka. Był szósty, za polską trójką i doskonałymi kolarzami zagranicznymi: Deutschem (Austria) i Joergensenem (Dania). Nie dość może poświęcono miejsca na to, by upamiętnić brawurową jazdę kapitana polskiej drużyny z Francji, który widząc ucieczkę Królaka porwał się za nim, ale ze względów taktycznych, z myślą o wspomaganiu słabiej pedałujących kolegów, poczekał w czołowej grupie i dopiero na finiszu pomknął do przodu, zostawiając za sobą znakomitych Duńczyków, Niemców, Czechów. Był szósty na stadionie, jako czwarty Polak w pierwszej dziesiątce — widownia nie znajdywała już dość silnych okrzyków dla wynagrodzenia tej wspaniałej postawy niemłodego już kolarza.

Dzień następny. Na przedmieściach Stalinogrodu w grupie czołowej, złożonej z kilku zaledwie kolarzy (daleko za sobą pozostawili całą resztę) toczy się bój o zwycięski wiazd do stolicy robotniczego Śląska.

W zawrotnym tempie przebiegają ulicami miasta: Wilczewski, Królak, Pawlisiak, Chraplak, oraz dwaj najlepsi Niemcy, Schur i Trefflich. Jak zakończy się ta rozgrywka najambitniejszych kolarzy? Polonia Francuska jedzie doskonale, często przyjmuje na siebie trud prowadzenia grupy, mimo iż wie dobrze, co się święci: Wilczewski, mieszkaniec Bytomia, zrobi wszystko, żeby być pierwszym na stadionie w Chorzowie. Przewidywania słuszne: Wilczewski skacze do przodu, Królak blokuje Niemców. Jak finisz, to finisz! Pawlisiak nie chce pozostać w tyle za Wilczewskim, wyrywa się za nim i... rzecz nigdy nie przewidziana — kraksa! Pawlisiak przewraca się, wstaje i bez radnie rozkłada ręce: rower jest poważnie uszkodzony.

Podjeżdża pierwszy wóz techniczny: rumuński. Każdy, kto wątpi w solidarność postępowych sportowców różnych narodów, zmieniłby zdanie, gdyby dostrzegł tylko te dwa spojrzenia: Rumuna, który podawał rower Pawlisiakowi, i Polaka z Francji, który, zdawałoby się, utracił już wszelkie szanse, ciężko zapracowaną przewagę nad innymi. Publiczność przy megafonach doznała głębokiego wstrząsu na wieść o wypadku Pawlisiaka — prawdę mówiąc — nikt się nie spodziewał, że jeszcze podejmie walkę. I oto wjeżdżają na stadion: pierwszy — Wilczewski, w minutę po nim Chraplak (brawo Polonia Francuska), dalej Królak, Trefflich, Schur i kto następny...? Pawlisiak! Wielotysięczny okrzyk wita niezłomnego zawodnika. Jeszcze jeden dzień Polski, dzień Polonii Francuskiej przede wszystkim, bo wygrała etap drużynowo.

Łódź. Koniec kolejnego etapu. Osobliwa para wjeżdża na bieżnię: obaj w koszulkach o polskich barwach, a przecież widać, że jednak ze sobą współzawodniczą: stają na pedałach, przynaglają rowery do maksymalnego pędu. Kolarz po zewnętrznej stronie biezni ma — jak się to mówi — „lepszą końcówkę", zręczniej rozgrywa finisz, dogania przeciwnika, z lekka go wyprzedza. Tamten nie daje się, czyni ostatni wysiłek i... leży! Wywrócił się przed samą metą. Pechowym zawodnikiem jest Królak, pierwszym, który przejechał metę — Pawlisiak! Etap znowu należy do Polonii Francuskiej, należy do wszystkich Polaków, którzy nadawali ton wyścigowi na całej trasie. Czy trzeba jeszcze opisywać owacje, jakimi przyjęto asa Polonii Francuskiej? Kto widział twarz zwycięzcy, który udekorowany honorowym wieńcem objeżdżał stadion, zrozumiał od razu: był szczęśliwy!

Radosne jest zwycięstwo po zaciętej, sportowej walce, była to ważna chwila w życiu Wacława Pawlisiaka, ale nie mogła się chyba mierzyć tym, co wydarzyło się nazajutrz na stadionie warszawskim. Kiedy speaker obwieścił, że właśnie przekroczył linię mety Pawlisiak z Polonii Francuskiej (jako dziewiąty) stara kobieta zaczęła przeciskać się przez tłumy rozdrażnionych sportowców. „Cóż to nie może pani poczekać, takie ważne rzeczy na mecie!" Ważne, ale są jeszcze ważniejsze". Przepuście — powiada ktoś — to matka Pawlisiaka".

60 tysięcy ludzi ze wzruszeniem patrzyło, jak matka objęła syna, którego nie widziała 15 lat, jak ucałowali się długo i bez słowa. Czy mogła być większa nagroda dla tego dzielnego kolarza. Dziennikarze z radia poprosili matkę i syna do mikrofonu, ale opowiadali później, że wywiad wypadł nieszczególnie — matka i syn z trudem wypowiedzieli kilka słów.

A. M.

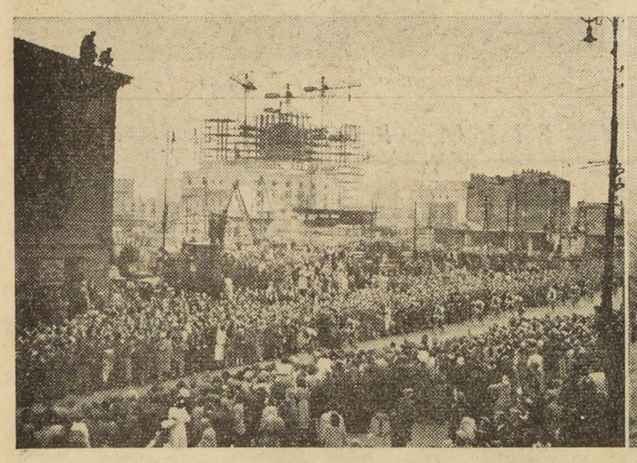

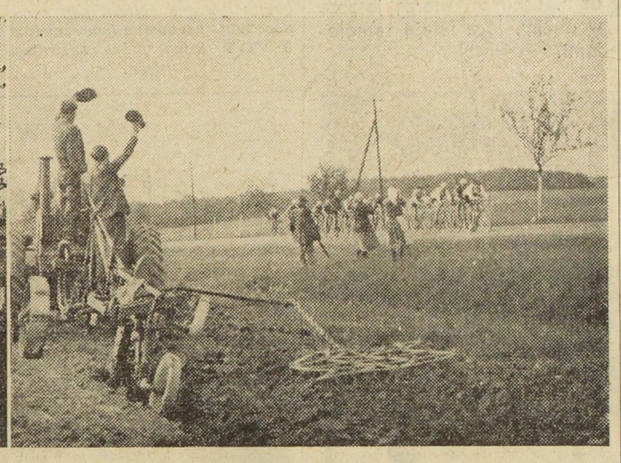

Po lewej: Kolarze na ulicach Warszawy witani przez tłumy ludzi. Po prawej: Uczestników Wyścigu pozdrawiają spółdzielcy

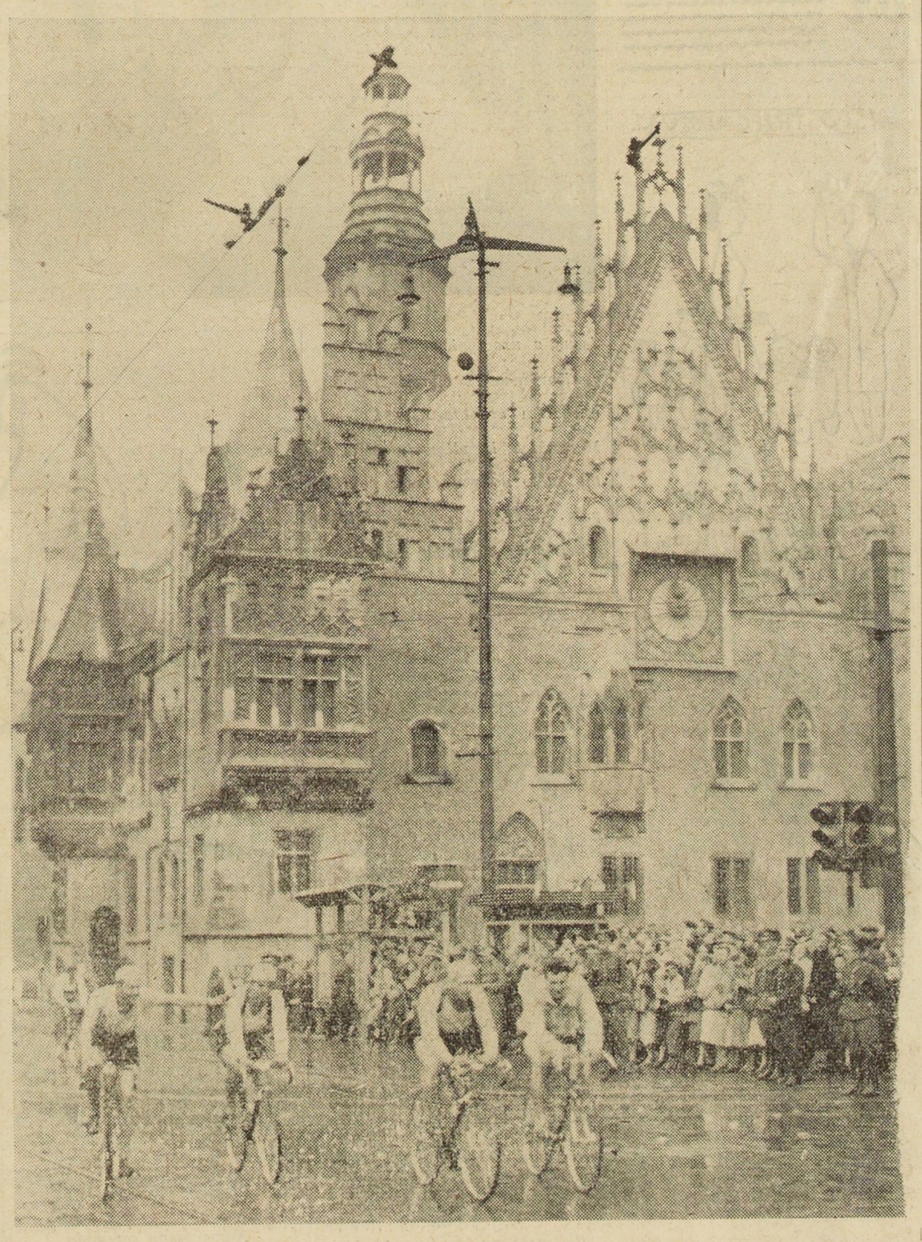

Na zdjęciu: Zawodnicy jadąc na ostry start mijają zabytkowy ratusz miasta Wrocławia

WSPANIAŁY SUKCES POLSKICH SIATKAREK W LILLE

Po zdobyciu 1-go miejsca w międzynarodowym turnieju siatkówki, zorganizowanym w ramach Międzynarodowego Zjazdu Sportowego, polskie siatkarki, w dniu 28 maja br. rozegrały mecz z francuską drużyną narodową w Lille. Sukcesy już poprzednio odniesione przez polską reprezentację żeńską w siatkówce, jej wysoka klasa międzynarodowa — sprawiły, że sala Roger-Salengro w Lille z trudem mogła pomieścić licznie przybyłą publiczność. Wielu było na sali Polaków, którzy z całej północnej Francji zjechali się tego wieczoru do Lille, aby dopingować polskie zawodniczki.

Tę wielką imprezę polsko-francuską zaszczycili swoją obecnością Charge d'Affaires PRL ob. Min. Ogrodziński z małżonką, zastępca Komendanta Wojsk. miasta Lille, ob. Konsul Larysz z małżonką, p. Libaud, przewodniczący Międzynarodowej Federacji Siatkówki, przedstawiciel prefekta w Lille, Dr. Wallon, przewodniczący okręgowy Towarzystwa Przyjaźni Francusko-Polskiej.

Spotkanie międzypaństwowe Polska — Francja poprzedził mecz siatkówki między męskimi drużynami Tourcoing i Harnes; mecz ten zakończył się zwycięstwem Tourcoing w stosunku 2-1. W przerwie między obu meczami wystąpił zespół taneczny z Quievrechain. Występy jego nagrodzone zostały zasłużoną burzą oklasków.

Kiedy na boisko wpadły siatkarki entuzjastycznie powitały je okrzyki. Po wymianie proporczyków między obu drużynami i odegraniu hymnów narodowych — rozpoczęło się spotkanie. Przy pierwszej już wymianie piłek dała się odczuć ogromna przewaga polskiej drużyny. Lepsze opanowanie techniki, zwinność, siła i zręczność — wszystko zadecydowało o wygranej polskich zawodniczek. Potężne serwy, błyskawiczne ataki — rozbrajały francuskie siatkarki i co chwilę przynosiły nowy punkt na korzyść Polski. Francuzki próbowały atakować i kontratakować lecz ich próby przełamania polskiej linii obronnej zawsze nieomal były skutecznie odpierane.

Po pierwszym secie, w którym francuska drużyna uzyskała tylko 3 punkty, można było się nastawiać na zdecydowane zwycięstwo Polski w dwu pozostałych. W dalszym ciągu polskie siatkarki pewnie i skutecznie nacierały i zadawały Francuzkom cios po ciosie. Niesłychanie silne serwy kapitana polskiej drużyny, M. Zakrzewskiej, błyskawiczne ścięcia M. Pogorzelskiej, świetna gra zespołowa polskiej drużyny, wysoka klasa mistrzowska Tomaszewskiej, Wojewódzkiej, Kurtzowej, Welsyng, które wszystkie zasługują na wyróżnienie — przyniosły Polsce w pełni zasłużone zwycięstwo i zapoznały publiczność francuską z wysokim poziomem polskiego sportu siatkarskiego. Końcowy wynik: 15-3, 15-3, 15-5 mówi za siebie i nie potrzebuje komentarzy. Sukcesy odnoszone przez sportowców Polski Ludowej na boiskach całego świata posiadają swoją głęboką wymowę, są one najlepszym wyrazem troski i opieki, jaka państwo ludowe otacza swoją młodzież, swoich sportowców.

Z góry do dołu: Fragment meczu Francja — Polska. Atak francuskiej zawodniczki i blok Zakrzewska — Welsyng

Przyjęcie wydane w Lens w „Maison du Peuple" na cześć polskich siatkarek przez Regionalną Federację Związku Zawodowego Górników. P. Leon Delfosse wpisuje się do albumu rysunków Fougeron, który wszystkie zawodniczki otrzymały jako upominek

Obie drużyny podczas przyjęcia w dniu 28 maja b. r. przez Amitie Franco-Polonaise

Polonia francuska wręcza kwiaty polskim zawodniczkom

Młodzież w strojach ludowych oraz górnicy w mundurach górniczych serdecznie witają przybyłą do stolicy Flandrii polską drużynę siatkarską

(Foto: Muller)

U ESKIMOSÓW

Półtora miliona kilometrów kwadratowych, dwa miesiące ciepłe w sezonie letnim, dziesięć miesięcy zimy, w lipcu chmary komarów, w lutym 60 stopni poniżej zera, przez cały rok nieustający wiatr...

Oto tak się przedstawiają warunki klimatyczne okolic polarnych, o których towarzysze Jacques Cartier (żeglarza francuskiego w XVI wieku, jednego z pierwszych odkrywców i badaczy Kanady) myśleli, że są bezludne. Zmienili jednak zdanie, gdy Indianie zaczęli mówić o „Estimeos" — jadaczach surowego mięsa w tym kraju.

Kraj ten nie zmienił się. Dziewięć tysięcy Eskimosów którzy go zaludniają, wydają się być podobnymi do swoich przodków: przysadkowaci, pogodni, weseli.

Eskimosi przybyli do Ameryki przez cieśninę Beringa dwa tysiące lat temu, po Indianach. Zainstalowali się na Wybrzeżu Polarnym i dookoła zatoki Hudson, następnie zaś przez wyspy polarne, przeszli do Grenlandii. Aż do przybycia handlarzy futer, Eskimosi kanadyjscy zajmowali się uprawianiem myśliwstwa: skóry z upolowanych zwierząt służyły im do wyrobu odzieży i namiotów, skóry fok — do fabrykacji kajaków, tłuszcz wielorybi — do oświetlania swych „mieszkań" kości morsów służyły do wyrobu harpunów, noży, igieł itp.; był to wiek mięsa... po którym nastąpił okres wymiany towarowej; białego niedźwiedzia wymieniano na broń; żywność na naftę i tytoń.

Od czasów ostatniej wojny okolice polarne stały się przystępne dla badaczy, techników a blask północnego słońca odbija się teraz na skrzydłach ptaków „tigmiszu" (olbrzymich samolotów), które stały się dla Eskimosów symbolem obecnych czasów.

Eskimosi nie zgrupowali się w plemiona, jak to uczynili Indianie, lecz żyją w rodzinie. Zimą polują na foki, które przybliżają się do ławicy by móc oddychać przez niektóre jej otwory, wiosną polują na gęsi i dzikie kaczki, jesienią na konie morskie.

Dla swojej rodziny Eskimos poświęca niestrudzenie 75 proc. swojego czasu. Chłopiec staje się mężczyzną od chwili, gdy sam upoluje duże zwierzę, może też potem założyć ognisko domowe, gdyż jego drugim życzeniem jest — mieć ubranie uszyte przez swoją żonę. Dziewczęta od najmłodszych lat uczą się kroić i szyć skóry.

Każda rodzina ma praktycznie do dyspozycji 750 km. kw. Nieustannie zmienia ona miejsce w poszukiwaniu zwierzyny, dlatego też posiadanie psów pociągowych jest dla każdej rodziny nieodzownym warunkiem.

Pies dostaje pożywienie raz na dwa dni w postaci 4 kg. mięsa. Psy odgrywają też ważną rolę w polowaniu na lisy. Lisy są na ogół białe, jeden procent zaledwie jest ich niebieskich. Upolowane zwierzęta sprzedają Eskimosi magazynom należącym do białych. Niektóre punkty skupu gromadzą przez zimę od 4.000 do 5.000 futer.

Wokół zatoki Hudsona myślistwo odbywa się w całej pełni, lecz w zachodnich okolicach polarnych, zanik zwierząt zmusza tubylców do hodowli renów domowych, podobnie jak to czynią Lapończycy.

Dla większości mieszkających tam przybyszów słowo „tubylec" oznacza dziki.

Według ostatnich statystyk 50 proc. Eskimosów choruje na gruźlicę, co rok wybuchają nowe epidemie. Trzy szpitale, które istnieją w miastach: Aklavik, Pangirtung i Chesterfield, założone przez misjonarzy, okazały się niewystarczające. Na 9.000 Eskimosów jest 100 misjonarzy.

Dziś okolice polarne kanadyjskie nie są już więcej światem mistycznym i zamkniętym. Samoloty kursują tam regularnie co kilka godzin. Eskimosi wierzą jeszcze w duchy, lecz latają samolotami.

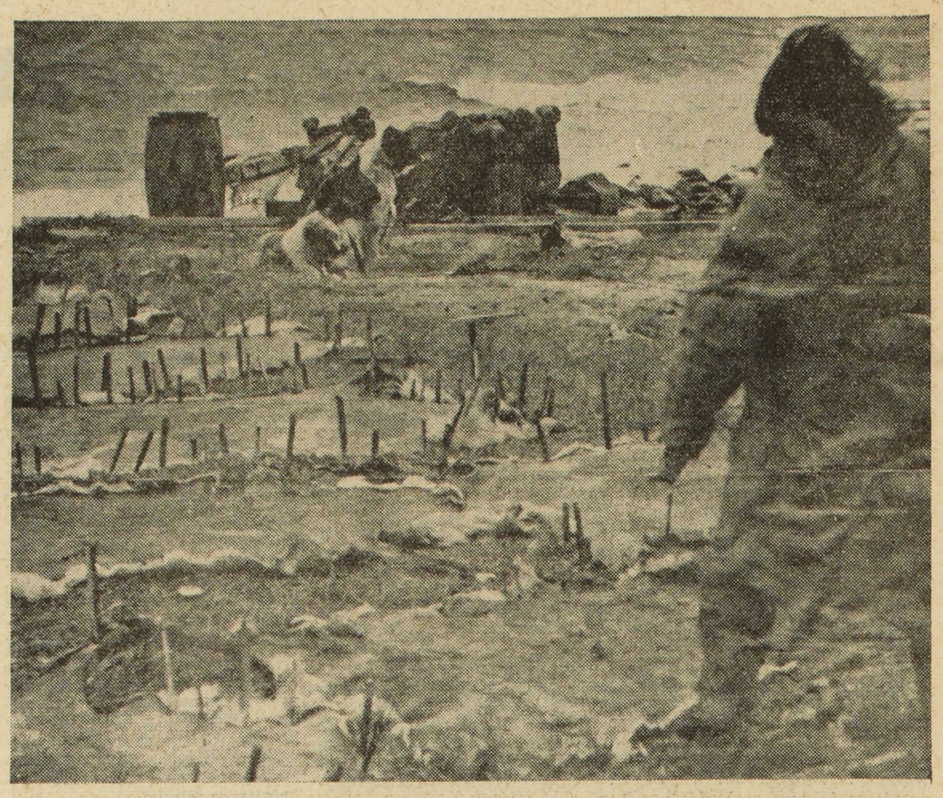

Skóra powinna być suszona przed wygładzaniem: w zależnościod gatunku włosia użyta zostanie do wyrobu odzieży, spiworu lub też zwykłego dywanu. Najlepsza skóra zarezerwowana zostaje do wyrobu kostiumu dla głowy rodziny.

Eskimosi uwielbiają swoje dzieci i nigdy ich nie karcą. Dzieci późno zaczynają chodzić i mówić; pierwsze trzy lata dziecko noszone jest na plecach matki w kieszeni specjalnie naszytej na jej ubraniu. Rzadko z niej wychodzą, chyba tylko po to, by spoczywać w futrzanym worku.

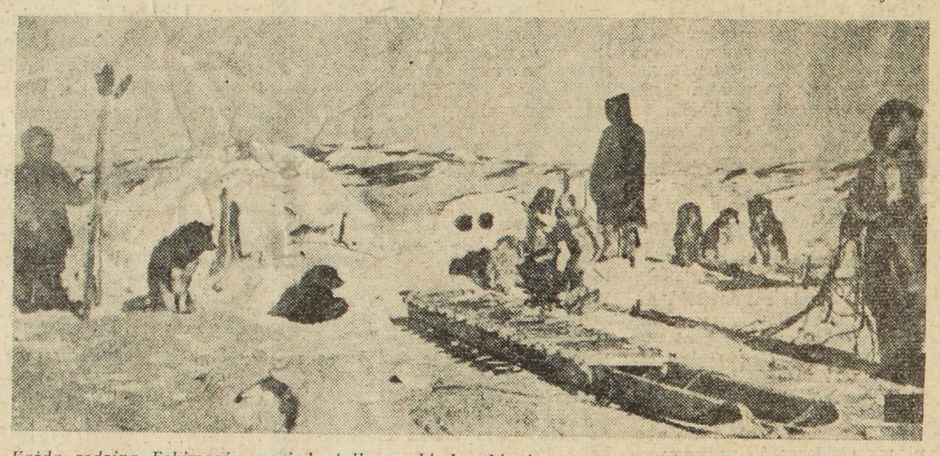

Każda rodzina Eskimosów posiada tylko sanki, karabin i maszynkę naftową. Psy nie wchodzą do domowiska, śpią na dworze. Podobnie jak wielbłąd Eskimos odżywia się okresowo gdy się ku temu nadaży okazja. Widzimy go na naszym zdjęciu gdy z widocznym zadowoleniem „wcina" 3 do 4 kilogramów suszonego mięsa.

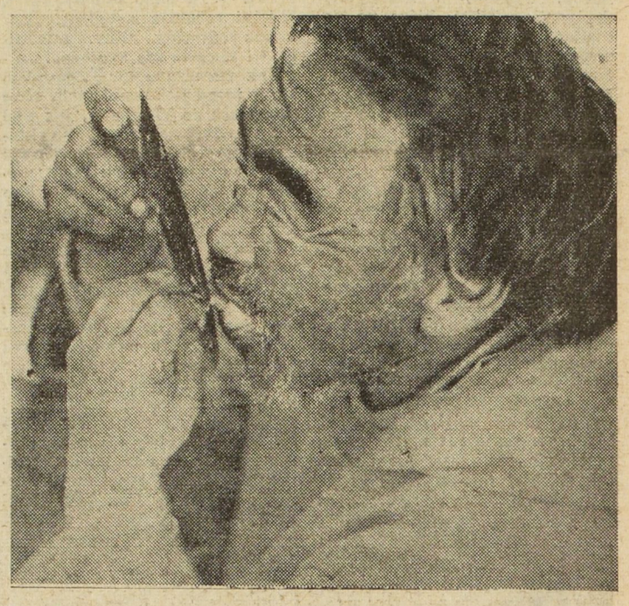

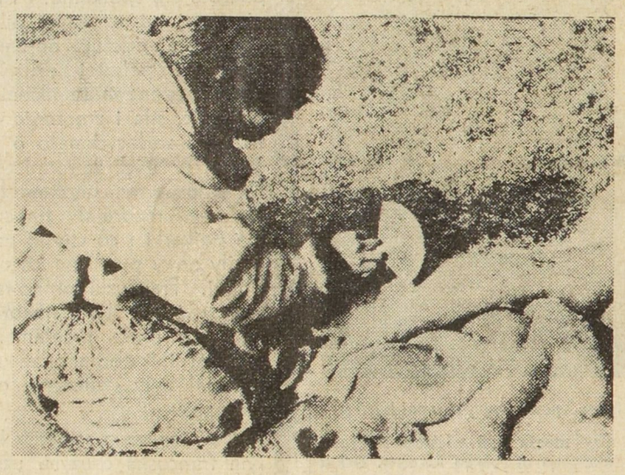

Czyszczenie skór należy do kobiet, używają one do tego specjalnego noża.

NOWY FILM POLSKI

«ZAŁOGA»

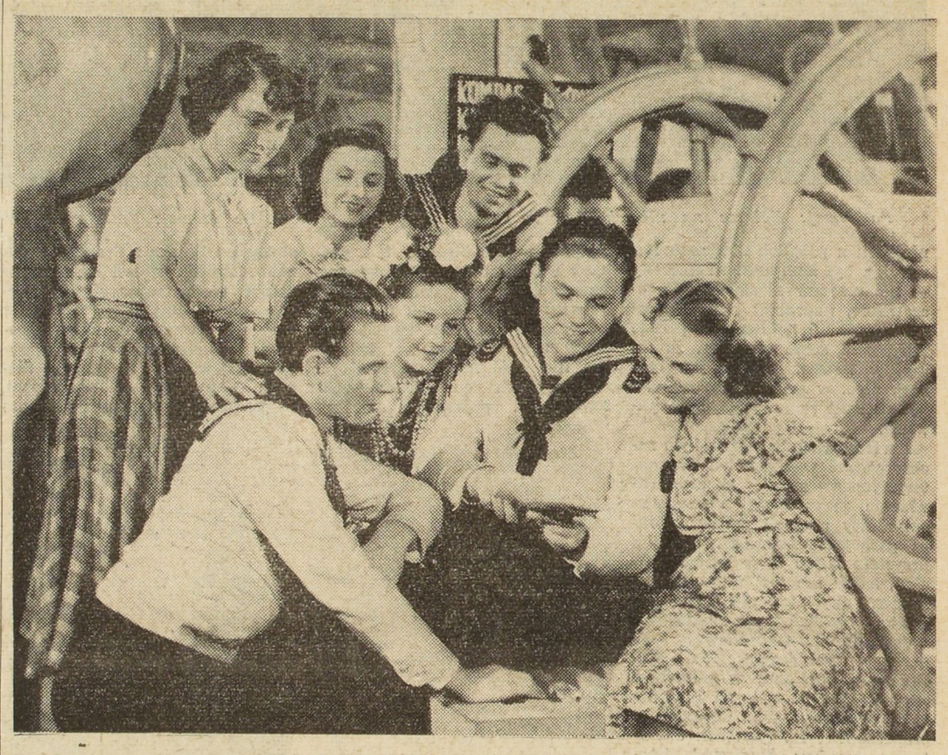

Scenę z uroczystego święta zorganizowanego z okazji zakończenia roku szkolnego w Polskiej Marynarce Handlowej, zobaczyć można w nowym filmie polskim p. t. „ZAŁOGA", wyświetlanym obecnie na ekranach Francji.

Humor Humor Humor

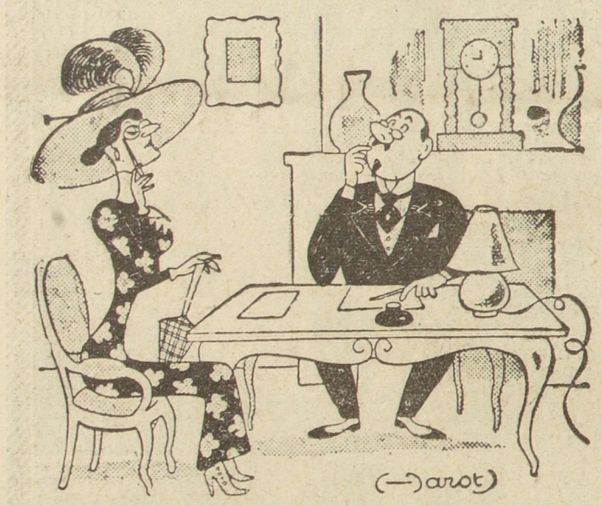

— Doktór: *Co pani dolega?*
— Pacjentka: *Doktorze, wciąż mnie dręczy myśl, że wszyscy się za mną oglądają.*

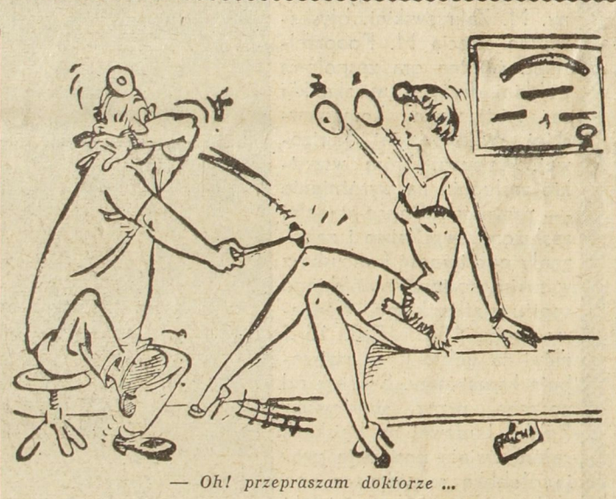

— Oh! przepraszam doktorze ...

SPOSTRZEGAWCZY

— Dzień dobry, panno Zosiu. Bardzo dawno nie widzieliśmy się. Podobno wyszła pani za mąż? Czy to prawda?

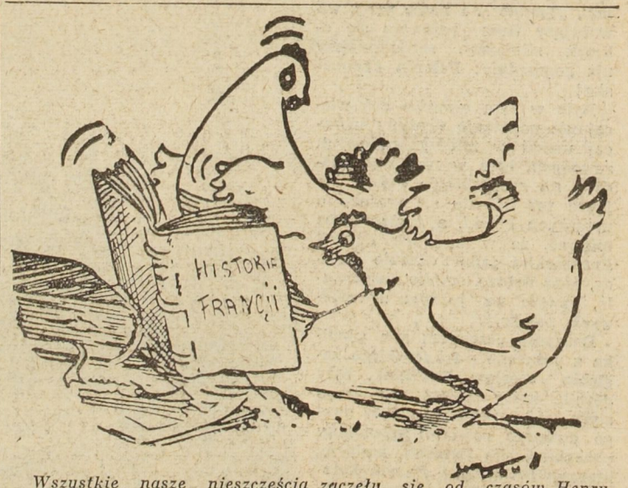

Wszystkie nasze nieszczęścia zaczęły się od czasów Henryka IV.

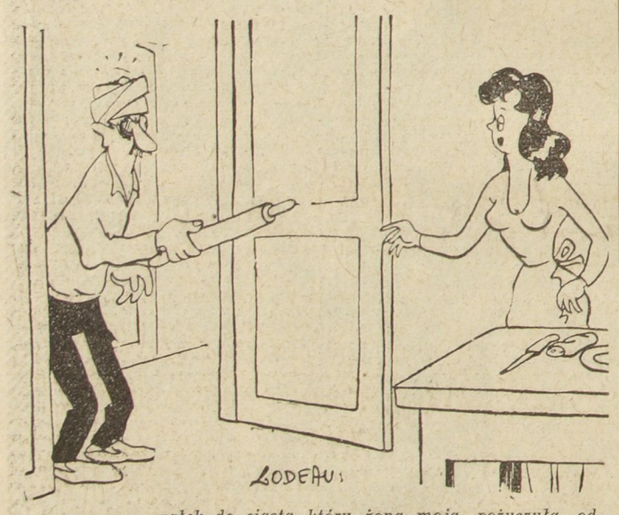

— Zwracam wałek do ciasta, który żona moja pożyczyła od pani!
— Dziękuję! Pan jej powie, żeby się nie krępowała, może zatrzymać, jeśli jeszcze potrzebuje.

— Gosposiu, nie martw się! nami jedzie pogotowie ratunkowe.

BEZ PODPISU

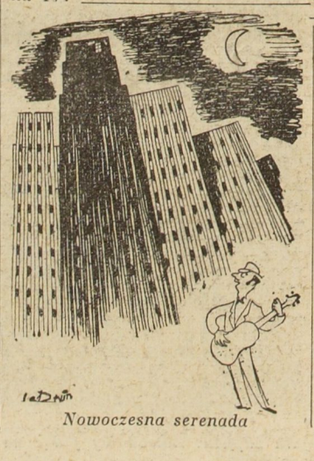

Nowoczesna serenada

Bez podpisu